Nr. 8. Lwów, 15. Stycznia 1886. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego,
Lwów, Rynek l. 9.

Skutki polityki serwilizmu.

Kilkakrotnie wykazywaliśmy, że błędna polityka Koła polskiego we Wiedniu, zaprowadziła nasz kraj na drogę ogólnego bankructwa. Dla egoistycznych celów i zaspokojenia próżności naszych przodowników politycznych, poświęcono szersze poglądy narodowe i kostytucyjne środki działania, mogące zapewnić Polakom w państwie rakuskiem stanowisko, które im w dobrze zrozumianym interesie austryackim przyznane być winno. Stało się inaczej, a dzisiaj zbieramy już gorżkie owoce bezprogramowego działania wyznawców zasady „nie trzeba robić trudności“. Zwietrzałe hasło naszego wiedeńskiego poselstwa, usunęło nawet wśród naszych sprzymierzeńców polityczych grunt do podjęcia inicyatywy i skutecznego działania parlamentarnego tam, gdzie liczne stronnictwo polityczne z natury rzeczy, decydować winno. Trafność naszych poglądów na obecną sytuacyę, potwierdza wiadomość, jaką otrzymaliśmy od jednego z mężów stanu, który niezaprzeczenie zajmuje wybitne i niezależne stanowisko polityczne. Pisze on „straciliśmy nietylko sympatyę, lecz szacunek w tutejszym świecie politycznym“.

Wszystkiemu temu winna błędna polityka Koła polskiego, która dla chwilowego przypodobania się kilku wpływowym osobistościom, poświęciła polskie stanowisko, któremu zawsze i wszędzie przyświecać winna idea swobody, idea wolności. Dosyć przypomnieć tutaj nowelę szkolną i ustawę komasacyjną. Dla chwilowego sojuszu z reakcyonistami i klerykałami najczystszej wody, pogwałcono zasadę sprawiedliwości „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło“.

Dzisiaj odwróciły się wszystkie stronnictwa od Koła polskiego, uważając je tylko za narzędzie do utrzymania kilku osobistości u steru Przewódcy Koła polskiego zapomnieli, że osobistości u steru nie są wieczne, wpływ ich za jednym zamachem ustać może, a na ich miejsce przyjdą nowi, którzy użyczone poparcie swoim poprzednikom nie policzą za zasługę i żadnych ustępstw dla kraju z tego tytułu nie poczynią. Natomiast rozumna idea polityczna poparta wytrwałem i systematycznem domaganiem się o przyrodzone prawa narodowe, równouprawnienie kraju względem innych krajów koronnych, przeżyłoby wszystkie znikome postacie karyerowiczów i wszelkiego rodzaju dorobkiewiczów. W tem leży cała wina błędnej polityki, że nasi posłowie zamienili cele z środkami działania. Dla uzyskania większości przy głosowaniu nad niektóremi, nasz kraj bardzo mało obchodzącemi ustawami, posunęli swą abnegacyę do tego stopnia, że zeszli z terenu, na którym cała nasza świetna i wiekopomna tradycya narodowa osnutą została. Dla tego też dzisiaj straciliśmy sympatyę i szacunek, gdyż sława narodu, który wszystko poświęcił „za naszą i waszą wolność,“ pozostaje w rażącej sprzeczności z czynami jego wybrańców. Wspomniany na wstępie mąż stanu pisze dalej: „Cóż robić, za winy przodowników pokutować muszą często narody wieki“. Przewódcy Koła polskiego muszą na siebie wziąć całą odpowiedzialność za swe serwilistyczne postępowanie, gdyż ogół w naszym kraju nawoływał ich ciągle do zmiany frontu. Nie to jednak nie pomogło, gdyż posłowie nie uważali się za mandataryuszów swoich wyborców, lecz za mianowanych ambasadorów, którym grzeczne i uprzejme słówka sfer decydujących starczą za czyny i zachęcają do służby w przedpokojach gabinetów, aby uzyskać bądź to protekcye dla swojej famili, bądź też inne osobiste koncesye.

Niech teraz odpowiedzą przed krajem ci, którym się zdawało, że era polityki serwilistycznej wiecznie trwać będzie, tymczasem grubo się przeliczyli. Zużyli bowiem swój wpływ na partykularnych interesach, a do skutecznej obrony kraju nie mamy bojowników.

We Wiedniu przestają się liczyć z naszymi weteranami parlamentarnymi, jako takimi, którzy po wyświadczeniu rozmaitych usług stali się zbyteczni. Gdyby ich taka kara osobiście tylko dotykała, przeszlibyśmy nad tem upokorzeniem do porządku dziennego. Lecz kraj powierzył losy swoich publicznych spraw tym właśnie weteranom, którzy sami przedstawiali swoje wpływy w jaskrawych kolorach i pocieszali ogół w kraju, że stanowią stronnictwo rządzące, zdobywające dla narodu korzyści. Tymczasem okazuje się dzisiaj, iż zamiast korzyści, znosić musi kraj bolesne upokorzenia, gdyż przeciwnicy Polaków wołają z tryumfem: „A gdzież to ci Polacy, którzy wojowali za wolność narodów? Ich polityka i postępowanie w austr. Radzie państwa dowodzi wymownie, że uganiają oni tylko za osobistymi interesami, nie mogąc się wznieść tam, gdzie tylko idealne interesa ludzi prowadzą.“ Jeżeli za udzielenie posady kuzynkowi, głosowano nad wnioskami zmierzającymi ku ukróceniu swobód politycznych, jeżeli głosowano w interesie przyobiecanej synekury dyrektorskiej za przedłużeniem przywileju kolei północnej, wbrew żywotniejszym interesom kraju i państwa, rola przewódców w austr. Radzie państwa wywołać musiała oburzenie w szerokich masach narodów rozmaitych krajów koronnych.

Opinia kraju, kilkakrotnie uznała za konieczną potrzebę, by w zarządach centralnych zasiadała dostateczna ilość wyższych urzędników Polaków, którzyby obeznani z potrzebami kraju, mogli sprawiedliwie załatwiać agendy dotyczące jego ludności. Zadaniem Koła polskiego winno być, walczyć o powiększenie liczby posad, czyli walczyć o zasadę, a nie o osoby. Nominacya bowiem osób należy do władz wykonawczych, a zadaniem stronnictwa w parlamencie winno być użycie wszelkich konstytucyjnych środków, by współobywatele byli dopuszczeni do władzy wykonawczej. Nasi posłowie inaczej jednak swe stanowisko zrozumieli. Jeżeli chodziło o jakąś nominacyę w ministerstwie, używali wszelkich wpływów. aby p. X. z Galicyi, lecz krewny posła p. R. z Galicyi, posadę otrzymał.

Tym sposobem posłowie sami się degradowali do rzędu pośredników między konkurującymi a władzami wykonawczemi. Gdy wpływy w parlamencie osłabły, rola pośredników dla posad krewniaków, stała się nie do pozazdroszczenia. Kraj najwięcej ucierpiał przez takie postępowanie naszego poselstwa, gdyż zabiegi prywatne uznano za żebraninę o łaskę, która się obecnie wyczerpała. Gdyby posłowie stali na stanowisku zasadniczem, nie uważanoby nominacyi urzędników Polaków za łaskę, lecz za uwzględnienie słusznych żądań kraju.

Z przytoczonego na wstępie źródła dowiadujemy się nadto, że obecnie rugują Polaków z zarządów centralnych, a ich miejsca zajmują Czesi i Niemcy. Z wyższych urzędników jest tylko jeden radca dworu w ministerstwie spraw wewnętrznych. W ministerstwie skarbu jest wprawdzie jeden, lecz ten jest ad personam przydzielony ministrowi, zatem nie może być ta posada uważaną jako zapewniona dla Polaka. W ministerstwie oświaty niema ani jednego rzeczywistego radcy dworu z Galicyi, w ministerstwie rolnictwa również ani jednego. Tylko w ministerstwie sprawiedliwości jest kilku, którzy za dawnego ministerstwa centralistycznego zostali powołani.

Dzisiaj nie chcą już mianować Polaków sekretarzami ministeryalnymi, lecz dotyczących kandydatów mianują starostami w Galicyi, aby tylko uratować posadę dla Niemca lub Czecha.

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

8)

(Ciąg dalszy).

Nie tak to łatwo było dawniej podróżować; w każdem miasteczku szarpano cię i badano o paszport. Mieliśmy tylko świadectwa, że jesteśmy alumnami, a paszportu nie mieli, bo to szło bardzo przykrą i kosztowną drogą. Puściliśmy się na opatrzność Boską.

Przyszedłszy tedy pod progi Krakowa, który jeszcze wówczas był rzecząpospolitą i strzeżony był od trzech cerberów, stanęliśmy w Podgórzu. Próbujemy wejść niby spacerkiem do miasta, ale śledcze oko policyanta dostrzegło mię i zawróconego wprowadza policyant do komisarza policyi Dutkiewicza.

Ten mię z góry: poco do Krakowa przyszedłem, poco studenci z Przemyśla do Krakowa chodzą? — na bunty, na spiski! — A gdy mu oświadczyłem, że mam tu krewnych, bo mój ojciec z Krakowa pochodził, teraz nim na kapłana odbiorę poświęcenie, chciałbym ich poznać, bo już później nie będę mógł i t. d., — zżymał się, unosił, i nie chciał pozwolić, chociaż czytał świadectwa. Mój towarzysz wymknął się jakoś szczęśliwie, a mnie nie pomogły nic prośby, musiałem wrócić.

Przykro mi było widzącemu miasto i tylko przez most oddalonemu wracać nazad do Przemyśla po tylu przebytych trudach. — Nie — rzekłem sobie w duchu — muszę być w Krakowie! Straciwszy cały dzień na różnych próbach, to szukając kapelana wojskowego na Podgórzu, którego nie znałem, to znów próbując z oficerami znajomymi ująć sobie policyanta, to z tym to z owym — nic się nie udaje. Wreszcie chciałem się przeprawić przez Wisłę na łódce rybackiej, ale straż pograniczna grożąc wystrzałem, nawróciła mię nazad.

Resztę czasu spędziwszy na oglądaniu mogiły Krakusa, Krzemionek i katedry Twardowskiego, zasmucony i zgnębiony na duchu wysilam się na koncepta, aż mi przyszło na myśl pójść do poborcy cła jakiegoś Niemca, i tego prosić o instancyę do komisarza policyi, aby mi dał przepustkę do Krakowa, — tłumacząc się najbardziej tem, że chciałbym się poznać z krewnymi. Uczciwy Niemiec poszedł ze mną do biura Dutkiewicza i wyprosił dla mnie przepustkę do Krakowa na 24 godzin.

Dostawszy pozwolenie, pomyślałem sobie: „I za trzy razy po 24 godzin nie będziesz mię tu widział panie komisarzu!“

Właśnie była Niedziela, poranek; — w rozlicznych kościołach dzwoniono na nabożeństwo, lud krakowski poważnie dążył do świątyni. Pokojówki i kucharki rozchodziły się z koszykami do domów; przekupki sławne już kończyły swe poswarki i szczebiotania, sprzątały swe towary, — żydziska tylko włóczyły się i darły między sobą. Po drodze wstąpiłem do kościoła OO. Bernardynów, ukląkłem ucałowałem ziemię krakowską, pomodliłem się i posunąłem do Rynku. Byłem w kościele Panny Maryi i św. Wojciecha, potem na Zamku. Przejęty byłem uszanowaniem dla Krakowian, których ich z nabożnem sercem modlących się.

Poszedłem na Skałkę, a napiwszy się kawy, bo to najtańszy był żywioł w Krakowie, pognałem na mogiłę Wandy. Tu na mogile położywszy się, dumałem o dawnej świetności Krakowa. Odetchnąwszy nieco wróciłem do Krakowa. Po drodze przypatrzyłem się tańcom krakowskim; chciałem widzieć jak się biją — ale natenczas nie bili się — a zamiast miodu — wódkę pili blaszankami — zamiast

Oto rezultat siedmioletniego wysługiwania się, rezultat polityki trzeźwej i przezornej! Takiemi zdobyczami może się poszczycić stronnictwo, które głosy przestrogi nazywało anarchią i wszelkich dokładało starań, aby tylko prasę polską gnębiono. Do wieńca smutnych zasług stronnictwa stańczyków przybywa nowy liść, ktory oby był ostatnim, gdyż nadszedł czas, że zbankrutowane stronnictwo stańczyków ustąpić musi w interesie kraju i państwa miejsca, stronnictwu opierającemu się na szerokiej podstawie narodu, stronnictwa, które szuka siły i zdrowych soków żywotnych w ludzie, tym najsilniejszym organizmie bytu politycznego i społecznego kraju i państwa. Członkowie stronnictwa stańczykowskiego pogodźcie się z tą myślą, iż zaufanie kraju, któreście nadużyli, już do was więcej nie powróci, i ustąpcie z areny, która nie może być targowiskiem!

Mowa ks. biskupa Pełesza.

wypowiedziana w Izbie Sejmowej dnia 4. stycznia b. r.

„Nie myślałem zabierać głosu, jako zbyt k.ótko zasiadający w tej Izbie, i nadto zajęty w ostatnich czasach czem innem. Wiadomo bowiem, że obejmuję w sobotę dyecezyę stanisławowską. W chwili, kiedy mówię, myśli moje są poza Izbą. A co przykrzejsza, że niefortunny przypadek zmusza mnie wystąpić polemicznie, i to kategoryczno-polemicznie przeciwko mężom, których zresztą szanuję, i radbym zawsze popierać ich intencyę. Jednakowoż debata przeprowadzona jest tego rodzaju, że mnie zmusza do zabrania głosu. Czynię to jako syn tego kraju, jako Rusin i jako biskup katolicki (Brawo). Rozprawa toczy się nad wnioskiem o zmianę pewnych paragrafów ustawy językowej, i właściwie należałoby mi się trzymać tego przedmiotu. P. marszałek jednak nie zbyt ściśle przestrzegał tego i dlatego i mnie wolno będzie odstąpić od rzeczy samej, zwłaszcza iż nie jestem fachowym ani przygotowanym. Właściwie chcę złożyć poniekąd oświadczenie, które zostaje w związku z tem co tu było mówione. Przykro mi, że piękny przebieg rozpraw, w którym przebija się na wskróś dobra wola i życzliwość ludzi rozumnych ku sprawiedliwemu dla Rusinów rozstrzygnięciu tej sprawy — co konstatuję według własnego wrażenia — przykro mi, że tę harmonię zakłóciły niektóre mowy, a przedewszystkiem mam tu na myśli mowę ks. Kaczały, z którym przed laty miałem do załatwienia podobną sprawę jako literat z literatem. Wówczas oświadczyłem mu, że do spraw i poglądów jego politycznych i narodowych nie mieszam się i pozostawiam to jemu. Jednakowoż zaznaczyłem wtedy, że na polu religijnem a osobliwie dogmatycznem nie znam żadnych względów (Brawa), i od moich zapatrywań jako ksiądz a obecnie biskup nie mógłbym odstąpić ani nie śmiem (Brawa). Owóż ks. Kaczała w swojej mowie, w którą zresztą bliżej nie wchodzę, bom jej dobrze nie słyszał, powiedział, że po unii lubelskiej została na Rusi zaoktrojowana unia kościelna. Czyż twierdzeniem tem chce się przysłużyć sprawie, której służy? Rusini żalą się dość często na to, że ich podejrzywają o skłonność do szyzmy i Moskwy. Przyznaję i podzielam ten żal. Ale niechaj ci, którzy służą ruskiej sprawie z przekonania i dobrego sumien a, nie czynią nic takiego, coby mogło d ć powód do takich insynuacyj. Nie wchodzę w to, jak unia przyszła do skutku; każdemu wiadomo, jak piękny był stan cerkwi ruskiej w pierwszem stuleciu istnienia. Do końca 12. wieku jeszcze była ona katolicką. Od początku 13. stulecia padło między nas Rusinów ziarno niezgody i zaciężył palec Boży nad naszą ojczyzną. Są to rzeczy bolesne dla każdego człowieka, a tem bardziej dla Rusina.

W 16. stuleciu przyszliśmy do tego, że nie było na Rusi ani jednego człowieka, którybу nie opłakiwał strasznego upadku cerkwi, a tem samem i ruskiej narodowości. Nie powołuję się w tym względzie na katolików, na Polaków, ale na świadectwo takich mężów, jak kniaź Juryj Ostrogski i na lwowskie bractwo stauropigijskie. Przypominam starania kniazia, aby przywieść do skutku unię z Rzymem. Przypominam smutne, niemal płaczliwe słowa, jakiemi odezwało się lwowskie bractwo w r. 1583. do ówczesnego metropolity: „My błukajem sia, jak bidnyi wiwci, kotrych pastyr opustyw“. Było nieszczęście, a nie było rzeczywiście pomocy, bo gdzież się mieli zwrócić? Do Konstantynopola? Wszak tam było jeszcze gorzej. Metropolita Onesyfor nie mógł niczego zrobić. Cóż mieli począć? I oto szczęśliwa myśl unii nie wyszła ani od korony, ani od Rzymu, ani od innych zakonów, tylko wywołała ją wewnętrzna potrzeba w sercu każdego uczciwie myślącego Rusina. Było to największe szczęście dla ruskiej cerkwi, iż przy końcu 16. wieku unię — nie zawarto, ale o d n o w i o n o (brawa). A zatem unia nie została zaoktrojowana, i nie jezuici, ani Rzym, nie król polski Zygmunt III. i nie szlachta dała nam unię, lecz unia wyrobiła się na podstawie wewnętrznej, żywotnej potrzeby narodu ruskiego (brawa). Twierdzenie te ks. Kaczały muszę odeprzeć nietylko jako biskup katolicki, ale jako Rusin, muszę odeprzeć z odrazą, i podnoszę przeciwko niemu solenny i uroczysty (torżestwennyj) protest (brawa).

Powiem jeszcze więcej. Szanownemu ks. Kaczale, którego, nawiasem mówiąc, nie pomawiam ani na chwilę o jakieś szyzmatyckie tendencye, i o którym jestem przekonany, że jest szczerym katolikiem, przez namiętność w tej sprawie wyrwały się takie słowa: „dobre szczo unja szcze ne upała“. Ośmielam się twierdzić, że unja jeszcze nigdzie nie upadła. Spytajcie, gdzie się podziała ta słynna prowincya kościelna, która w połowie 18. stulecia miała 9 wielkich arcybiskupstw i biskupstw, do których należało więcej niż 13. milionów wier ych? Dziś jej nie ma. Mimo to ja twierdzę, że unia nie upadła, ale została zniszczoną (brawa) przez tych ludzi, u których panuje „siła przed prawem“ (brawa). Zresztą smutne to wspomnienia o tamtych minionych czasach. Jako Rusin szczery muszę powiedzieć, że żaden prawy Rusin nie może wychwalać tego stanu rzeczy. Proszę popatrzeć, czy tam gdzie zniesiono unię, wolno jest Rusinom w cerkwi i w szkole odzywać się ojczystym językiem? My żyjemy w Austryi, mamy konstytucyę, mamy równouprawnienie, i nie mamy przyczyny bać się, aby unia upadła. Nie upadła — śmiem twierdzić; ona była, jest i będzie sławniejszą, niż kiedykolwiek była (brawa). Przykro mi, że przeciwko ks. Kaczale musiałem tak kategorycznie i z największą wystąpić stanowczością. Niechaj jednak nie myśli, iż także w innych względach miałbym występować przeciwko niemu. Nie. Znam jego dążenia pod względem narodowym, i wiem, że on i całe jego stronnictwo pewnie będzie działać na gruncie kościoła, na gruncie literatury małoruskiej, i na gruncie austryackim (brawo).

Czas jednak zwrócić się także na drugą stronę Izby. I tu usłyszałem słowa, których nie mogę pominąć milczeniem. Mam na myśli mowę p. Torosiewicza. Nie wchodzę w jej szczegóły, albowiem spotkała ją z innej strony wymowna i jędrne odprawa. Zwracam uwagę na jedno tylko wyrażenie, które przypisuję nie czemu innemu, jak tylko rozgoryczeniu. Był to „lapsus“. Powiedział, że garstka nihilistów robi w kraju niepokój, ciągnąc do szyzmy i do Moskwy. Nie jestem znawcą kraju, ale sądzę, że do teraz Bóg nas ochraniał od tych nihilistów, i daj Boże, abyśmy pod tym względem nie mieli przyczyny się skarzyć. Nie trzeba wywoływać, czego niema (Głosy: Tak jest! doskonale!) Pominąwszy, iż nie mam obawy przed nihilistami, których całkiem nie mogę sobie przedstawić — o cóż właściwie chodzi? O wniosek Romańczuka. Wniosek ten chce jak wiadomo, załatwić sprawy języka szkolnego. Wniosek ten wywołał cały ten niepokój w kraju, a garstka, która tak niebezpieczny plan, iż zakłóciła, spokój całego kraju — któżto jest? Oczywiśc.e ci, którzy ten wniasek podpisali. Owoż na czele podpisany jest p. Romańczuk, a potem ks. metropolita Sembratowicz i biskup przemyski ks. Stupnicki. Powiedzieć coś tak s rasznego w tej Izbie i posądzać kogoś, to mniemam, rzecz bardzo niebezpieczna. Smiem zapytać, czy i ci, którzy podpisali wniosek p. Romańczuka, ciągną do szyzmy i do Moskwy?

P. T o r o s i e w i c z. Proszę o głos — tego nie myślałem.

Ks. biskup P e ł e s z. Nie wmawiam tego w p. Trosiewicza, iż rzeczywiście tak myślał, ale mnie się zdaje, że taką konsekwencyę można z tego wysnuć.

Przechodzę teraz do mowy drugiego posła, mianowicie p. Golejewskiego. Panu hrabiemu podobało się w swej zbyt gorączkowej mowie powiedzieć, iż „większa część ruskiego kleru“ dąży do szyzmy i Moskwy. Przez to odsądził więcej niż 1000 szanownych i sumiennych ludzi, poczciwych mieszkańców naszego kraju — kler bowiem ruski liczy więcej niż 2200 księży — gołosłownem twierdzeniem, i zarzucił mu najwyższą zbrodnię, jaką mogę sobie przedstawić, zbrodnię zdrady wiary i kościoła (brawa). Panowie! mnie się zdaje, że to za dużo, i niewiem, czy w jakim parlamencie poważyłby się ktoś z taką wystąpić monstrualnością, a co więcej — podobnie monstrualne twierdzenie pozostało ze strony prezydyum bez żadnego skarcenia. Moi panowie! zajrzyjcie do historyi, nawet innych narodów, a mniemam, że z pewnością znajdzie nietylko między Rusinami, ale także między Francuzami, Niemcami, Włochami i Polakami także odstępców (brawo) do luterskiego, protestanckiego wyznania, a nawet do szyzmy. Czy na tej podstawie mógłby ktoś z Rusinów wystąpić i powiedzieć, że większa część polskiego kleru dąży do luteranizmu albo do szyzmy? Nie. Tysiąc razy powiem, że niemógłby tego powiedzieć, a przeto i wy panie hrabio, nie mieliście prawa, występywać z takiem twierdzeniem. Ponieważ zaś to się stało, przeto z najwyższem oburzeniem odpieram je imieniem episkopatu i kleru ruskiego i protestuję (brawa).

P. hr. Golejewski mówił także o sprawie obrządkowej. Wówczas nie byłem w kraju i nie miałem sposobności zastanawiać się nad tem, gdy z ruskiej strony była mowa o „łacińskich naleciałościach“. Byłto hałas, który podniosły dzienniki, i narobiły istotnie takiego bigosu, iż nie było wyjścia. O tem nie będę mówić ani nie chcę, ale dałbym radę — consilium boni viri — aby tę sprawę pozostawić tym ludziom, do których to należy (brawa). Mamy na to episkopaty. Wyższe instancye tem się zajmują. Mamy stolicę rzymską, której sprawa będzie przedłożoną i

---

czterograniastych czerwonych czapek, nosili wysokie szląskie kapelusze. Chciałem im wyrzucać to lekceważenie starożytnego stroju, ale lękałem się policyi.

Z ciężkiem sercem wróciłem do grodu, zajęty odszukaniem krewnych. W tym celu udałem się na gospodę piekarską i tam znalazłem czeladnika, który mię zaprowadził do stryja, — a w pół godziny jużem był otoczony całem gronem ubogich stryjów, wujów, stryjenek, ciotek i braci stryjecznych i ciotecznych. Wielce się radowali, widząc synowca wyuczonego do kapłańskiego stanu. Nędza ich była wielka, bo Kraków zamknięty nie dostarczał im pracy. Nie mieli mię nawet gdzie przenocować, aż mię ciotka Katarzyna zaprowadziła do chrzestnej matki ojca mojego, bardzo poczciwej polskiej staruszki, która radując się z tego przybycia i wypytując o ojca, przenocowała mię przez kilka dni u siebie i nagadać się nie mogła o losie biednego Krakowa. Staruszka mogła liczyć 85 lat ale dawnego chowu kobieta, jeszcze była przytomną i dość rzeźką. Miała syna introligatora; ten mię oprowadzał wszędzie po kościołach i po znajomych i wyrobił mi pozwolenie zostania w Krakowie dopokąd zechcę. U niego widziałem masę książek zakazanych do oprawy danych; chciał mi niektórych udzielić, ale bałem się rewizyi na rogatce i nie brałem, zadowalniając się tem, żem niektóre przeczytać mógł powierzchownie.

Z jakiem niewymownem czuciem wstąpiłem na mogiłę Kościuszki! Ucałowałem tę świętą ziemię, którą lud na znak uwielbienia tego wielkiego bohatera wysypał. Było to święto Wniębowzięcia Maryi Panny. Cały Kraków wysypał się na tę mogiłę i uczcił pamięć Kościuszki i radował się jako dzieci przy boku matki. Zstępując z mogiły, zerwałem kilka listków na pamiątkę i ziemię z mogiły, zwiedziłem jeszcze kaplicę św. Bronisławy i kościół na Zwierzyńcu i pełen rzewnych pamiątek o starodawnym grodzie, ułożyłem się do snu.

Przez cały tydzień odwiedzając po kilka razy katedrę i zamek, widziałem wszystko i czytałem co można było widzieć i czytać w skarbcu, w grobowcach i po ścianach; — płakałem w duszy i lamentowałem wraz z Jeremiaszem naszym, ks. Woroniczem nad upadkiem Polski. A zwiedziwszy Bielany, Łobzow, Wesołe, Komorę i t. p. pamiątki, pożegnawszy się z biednymi krewnymi, którzy mnie a ja im niczego dać nie mogli, podziękowawszy chrzestnej babie za gościnę, powróciłem na Podgórze, prosząc Boga, aby mi pozwolił kiedy zobaczyć w większem szczęściu ten starożytny gród.

Z laseczką w ręku, z koszulką czystą w kieszeni, udałem się z Krakowa na Kalwaryą samiutki, bo towarzysz przed kilku dniami pożegnawszy się ze mną w Krakowie, wyjechał był do Tarnowa jakąś okazyą. Ja zaś myślałem sobie: grzechem by było nie zwiedzić sławnej Kalwaryi Zebrzydowskiego i Tatry; więc ruszyłem sam w dalszą drogę z tem przeświadczeniem, że goły rozboju się nie boi Szczęście że czas był piękny i rzadko deszcz padał.

Przybywszy do świętej ziemi, szczególną czcią przejęta jest dusza, widząc wspaniały kościół i te tysiące narodu zgromadzonego, różnego języka i stroju. Ledwie przenocowałem u dawnego ks. Bernardyna znajomego mi z Sambora, raniutko wstałem i poszedłem oglądać kościoły i kaplice, naliczyłem ich 56. Wróciłem z tej pielgrzymki o godzinie 4. po południu zmęczony, zgłodzony i oszołomiony tym gwarem, wrzaskiem i pieniem tego niezliczonego ludu. Był to 8. Września. Posiliwszy się u poczciwego księdza, wcześnie rano pożegnawszy Kalwaryę, pognałem do Lanckorony, zwiedziłem te ruiny; a potem przez góry dostałem się do Myślenic, dość schludnego miasteczka, gdzie nie było żydów. Ztąd do Jordanowa i do Nowego Targu. Sliczne okolice. Życzeniem mojem było zwiedzić Tatry, które harde swoje czoła wznosiły ponad okolicą, ale poczciwy ks. proboszcz odwiódł mię od dalszej podróży, przedstawiając mi uciążliwą po-

ostatecznie uchwaloną, bo Roma locuta, causa finita. Nie mieszać się zaś do spraw kościelnych tym, którzy tego nie rozumieją. Ja panowie nie mieszam się w tej wysokiej Izbie do takich rzeczy, które do mnie nie należą, i których nie rozumiem.

Muszę jeszcze jeden punkt podnieść z mowy hr. Golejewskiego. Mówił on także o chełmskich księżach, tj. o tych, których ztamtąd wydalono za to, iż stawali wiernie w obronie swej wiary, mówił, że się z nimi źle obchodzono, i że ich prześladowano ze strony tutejszych konsystorzów ruskich. Nie byłem wtedy w kraju, i nie zajmowałem się temi sprawami. To tylko muszę powiedzieć z mojej strony, że jako radca konsystoryalny, robiłem, co było można. Wielu z nich otrzymało posady, i to w lwowskiej eparchii, jedne z najlepszych, a sądzę, że tak samo czyniła i przemyska eparchia. Robiło się co można, ale nie każdy człowiek jest odpowiednim na każde miejsce, i nie może żądać, aby mu dano co najlepsze. O innych wywodach hr. Golejewskiego mówić nie chcę (P. Golejewski: Proszę!) Nie przypominam sobie ich, tylko mniej więcej. W szczególności chciałem te rzeczy podnieść, nietylko aby je podnieść, ale żeby spełnić święty obowiązek Rusina i biskupa ruskiego, iż na oszczerstwo takie, jakie rzucono tu na kler ruski, pod żadnym warunkiem zgodzić się nie mogę. (Brawa.) Wprawdzie hr. Golejewski powoływał się na dowody, a mianowicie na Chełm i na Huiliczki, ale byłaby to długa droga, gdybym chciał mówić o tych rzeczach. Przyznaję jednak, że to rzeczywiście czarna karta w dziejach ruskiej cerkwi! Wtedy i teraz dałem wyraz mojemu przekonaniu niedwuznacznie i każdego odsyłam do mego dzieła, a tam znajdzie w tym względzie pojaśnienia.

Nie wchodzę dalej w mowy, a właściwie nie miałbym podstawy ani przyczyny do dalszego rozwodzenia się. Na jedno tylko pozwólcie mi jeszcze panowie zwrócić uwagę, — na politykę, którą reprezentowali w swych mowach hr. Golejowski i jego poprzednik. Nie zdaje mi się, aby dobrą i stosowną była polityka czysto n e g a c y j n a we wszystkich sprawach, gdzie chodzi o Ruś. Jestem przekonany, że taka polityka Rusinom nic nie zaszkodzi, ale owszem będzie im pomocą. Są to rzeczy zanadto ważne, i ci, którzy mają prawo decydować o tych sprawach, z pewnością będą się zastanawiać nad wartością tych argumentów. O czystej negacyi, jak o każdym ekstremie, można powiedzieć, że nie należy jej brać na serjo, i nie należy się z nią liczyć. Ze względu na Rusinów muszę także powiedzieć panom, że Rusini takich insynuacyi — powiedziałbym silniej, gdyby w parlamencie silniejszych można było używać wyrazów — nie mają przyczyny obawiać się. Są to *tempi passati*, kiedy na proste doniesienie, wszystkich Rusinów „per Pausch und Bogen“ odsądzano. Obecnie we Lwowie, i w Wiedniu i Rzymie znają się na farbowanych lisach. Trzymajcie się panowie wyrażenia pisma św., które mówi: „nie każdemu wierzcie duchowi, ale pytajcie, czy ten duch pochodzi od Boga“ (brawa). Jeźli przyjdzie z nieprawdą, wtedy poznają się na nim, i odsyłają go tam, skąd przyszedł.

Polityka czysto negacyjna nie szkodzi Rusinom, ale szkodzi Rusinom i Polakom razem (brawa), szkodzi wszystkim, tj. krajowi (głosy: tak jest!). *Extrema se tangunt*. Wywołują nowe ekstremy z drugiej strony, i stąd powstaje niepokój, niezgoda i podejrzenia na każdym kroku między obywatelami tej ziemi, między dziećmi jednego kościoła. Szkodzi nam ona także w innym względzie, bo ludzie złej woli — a takich obecnie nie brak — przedstawiają światu, jakobyśmy chcieli się pożreć tak dalece — by użyć trywialnego wyrażenia — iż zostaną tylko buty z nogami. I dla tego, panowie, proszę pozwolić, abym was ostrzegł jak najusilniej przed takiem bezpodstawnem rozumieniem.

Macie decydować o rzeczy wielkiej wagi. Bliżej w nią nie wchodzę. Decydujcie według woli i najlepszego przeświadczenia, co uznacie za najodpowiedniejsze dla dobra obu narodów w kraju, a obok tego pamiętajcie o zasadzie: „*Concordia res parvae crescunt — discordia et maxima dilabuntur*“. (Huczne brawa — oklaski i gratulacye dla mowcy.)

W sprawie szkół ruskich

w Sejmie.

„Divide et impera“ — hasłem tem posiłkowały się wprawdzie zwykle wyższe sfery, a posiłkują się dotąd i Sejmy a nawet Sejm galicyjski, w którego łonie widocznie ta sama zasada nurtuje; a trudno posądzać zwolenników takiego hasła, aby nie pojmowali, gdzie kraj prowadzą, jaką mu gotują dolę, gdy z uporem godnym lepszej sprawy starannie oczyszczają otchłań, jaka rozdziela Polaków i Rusinów.

My mamy prawo o tem sądzić i ubolewać, bo *Strażnica pol.* jest pierwszem pismem w Galicyi, które od lat czterech nieustannie omawia stosunek Polaków do Rusinów w Galicyi, i ona pierwsza zapatruje się na tę sprawę, myśląc o przyszłości. To też znaczenie Rusinów nie ogranicza się i nie opiera na kordonie i słupach granicznych, wyciągniętych chociażby tylko od Brodów aż do t. zw. okopów za Zaleszczykami. My przedewszystkiem nie spuszczamy tego z oka, że za tymi słupami granicznymi rozsiadła się Ruś co najmniej po Dniepr; liczebnie zaś jesf silniejsza w tej chwili od nas. Tak jednak niestety, jak się pewne głosy odzywały w Izbie sejmowej o znaczeniu Rusi i Rusinów, nie da się tego utaić, że ci, którzy tak przemawiali w imieniu Polaków, stanęli na tem samem stanowisku względem Rusinów, jak Bismark i Niemcy względem Wielkopolan.

Według naszych poglądów byłoby się daleko lepiej zrobiło, aby sprawa ruska w tej formie nie weszła na porządek dzienny rozpraw w Izbie sejmowej, i wróconą została na drogę naturalną, prawną, opierając się na XIX. artykule konstytucyi państwowej. Że droga ta nie była obcą Rusinom, śmiemy tak mniemać; a jeżeli weszli ze sprawą szkół ruskich do Sejmu, to niezawodnie uczynili to z rozmysłem, czego im jednak za zbrodnię poczytać nie można, gdyż my na ich miejscu to samo byśmy niezawodnie uczynili, aby pokazać na szerszej arenie politycznego świata, jak u nas Polaków w Galicyi wygląda tolerancya narodowa.

Otóż zdaje nam się, że tego celu Rusini dopięli, a nasi mężowie stanu w Sejmie nie przewidzieli, jakie wrażenie uczyni zacięta odbyta walka, pomimo twierdzeń p. hr. Golejewskiego, „że Europa zajmowała się Serbią i Bułgaryą i o wnioskach ruskich i naszej deputacyi zapomniała“. Takie zapomnienie należy brać nader względnie, bo *Strażnica pol.*, jakkolwiek jest według przyjaciół politycznych p. Golejewskiego tylko „p i ś m i d ł e m z a u ł k o w e m“ i jest za biedną, aby posiadała „własny drut“, to jednak rozporządza czasami bardzo doskonałymi telefonami, które sięgają nietylko nad siny Dunaj, ale nad Spreę i Newę. Otóż co tylko odebraliśmy i mamy przed sobą i z bardzo poważnej strony doniesienia i uwagi, o sprawie wniosku posła Romańczuka w Izbie sejmowej.

Donoszą nam, że kanclerz żelazny, który się pilnie tym echom przysłuchiwał, aż ręce zacierał z radości, i miał powiedzieć, że jest nader wdzięczny posłom galicyjskim, gdyż ci uwalniają go od wszelkich skrupułów, co do postępowania, w wydalaniach Polaków z Prus. Że to nie jest fantazya ani nasza ani naszego korespondenta, dowiodą tego rozprawy w parlamencie niemieckim o „wydalaniach“, które tam są obecnie na porządku dziennym. A faktem jest, że wskutek walki z Rusinami w Sejmie, pressya względem Polaków mających być wydalonymi, została znacznie zaostrzoną.

Wprawdzie u nas w kraju z głosami pp. Golejewskiego i Emila Torosiewicza nie zwykliśmy się bardzo liczyć, gdyż cynizm, a nawet brutalność, znane są powszechnie. Zresztą, że ci panowie wybrani zostali do Sejmu i w nim zasiadają, to prócz tego niczem w życiu swojem nie udowodnili, że sprawy kraju w ogóle, nie więcej ich interesują, jak tylko o tyle, o ile dotyczą ich spraw osobistych lub familijnych. Tak są pojmowani w kraju; gdy jednak głosy ich dostają się do pism publicznych i przenoszą się poza kordony graniczne Galicyi, tam biorą tych panów na seryo za przedstawicieli narodowości polskiej i tak też oceniają to, co wypowiedzieli. Jeżeli zaś te głosy wywołały w kraju największe oburzenie u wszystkich prawdziwych patryotów, nie cierpiących na obłęd szowinizmu to jakżeż się musiały wydawać w oczach Prusaków, którzy ani p. Golejewskiego. ani p. Emila Torosiewicza bliżej nie znają.

Bóg jednak mocniejszy, aniżeli złość i przewrotność ludzka; przysłowie to stare sprawdziło się i tym razem.

Powstał w Izbie sejmowej i zabrał głos prawy Rusin z krwi i kości, — a książę Kościoła. Odezwanie się Jego zabrzmiało jakby głos apostoła, który karcąc odważnie to wszystko, co nie Boże, nie patryotyczne, ani dla Polaka ani dla Rusina, — zażegnał może daleko smutniejsze następstwa, aniżeli ktośkolwiek mógł takowe przeczuwać. Przemówienie ks. biskupa Pełesza uważamy jako widomą Łaskę Bożą, wobec naszej doli i walki, chociaż bezkrwawej, ale doniosłej, dwóch bratnich szczepów. A stało się to w chwili, którą również uważamy za dzieło Opatrzności, jeżeli bezpośrednio po walce w Izbie sejmowej następowało objęcie stolicy biskupiej przez ks. Pełesza w Stanisławowie. Bo tem daliśmy znów świadectwo, że dzięki Bogu, jeszcze nie wielu mamy pomiędzy sobą pp. Golejewskich i Emilów Torosiewiczów, — że lud ruski jako taki jest również narodem własnym, który się nazywa Rusią, jak my Polakami i Polską I tam też mógł się p. Golejewski przekonać wraz z p. Torosiewiczem, że lud unickiego wyznania w Galicyi wschodniej jest zupełnie świadom swej ruskiej narodowości i że mu Polacy takowej nie zaprzeczają.

Nie miejsce tu opisywać tę uroczystość wielkiej doniosłości dla całego kraju; uczyniły to inne dzienniki, i jest już powszechnie znanem wszystko. Ale nie wolno nam pominąć głosu szlachcica znakomitego i dobrze ojczyźnie zasłużonego rodu, którego potomek dziś wznosi toast na cześć

---

dróż i mozoły; a tem bardziej, żeś sam i bez grosza, a tu jeszcze kawał drogi do morskiego oka. Posłuchawszy go wróciłem do Jordanowa — a stąd gościńcem do Sącza. Stąd przez Gorlice, gdzie mię deszcz ulewny i słota przez kilka dni trzymała. do Biecza i do Jasła. Tu mię zacny koleżka zdrożonego i wygłodniałego, zamiast chlebem karmił karmelkami i śliweczkami. Czmychnąłem pod noc do Krosna i u ks. wikarego przenocowawszy, zdążyłem do mojego szkolnego kolegi w Rymanowie. Tu sobie spocząłem i odetchnąłem po trudach. Odpocząwszy, puściłem się do Sanoka, a stąd przez Chyrów, Fulsztyn do Sambora.

Przyszedłem w nocy do domu rodzicielskiego, przepędziwszy w drodze 5 tygodni, a obszedłszy 73 mil, z potrzaskanymi butami, w podartych szatach, w rozszarpanej bieliznie, wychudzony, zczerniały, spalony na słońcu i zgłodniały jak wilk. Rodzice uradowani, żem szczęśliwie i zdrów powrócił, a ja niezmiernie zadowolony, żem zwiedził Kraków, Kalwaryę, Wieliczkę widziałem Tatry i tyle miast. Opowiadałem ojcu od płaczu się nie mogącemu wstrzymać o jego braciach, siostrach, chrzestnej matce i innych pamiątkach. Tak mile, pożytecznie przepędziwszy wakacye, odpocząwszy nieco i przyszedłszy do sił, przyjechałem do seminarza na ukończenie studyów teologicznych. Był to rok ostatni, tak zwana „pastoralna“.

Młodzież duchowna nie znająca siebie, świata, ludzi i warunków społeczeństwa, przysposabia się do urzędu kapłańskiego, wstępując niby do przedsionka kościoła katolickiego. Tu nauczyciele duchowni wykładają obowiązki papizmu, katolicyzmu i całej organizacyi kleru, że się aż dusza młodzieńcza mrozi, a te wszystkie przesadzone obowiązki piekielnym ogniem nagalwanizowane, nie jednemu żal budzą, że się do tak kapryśnego, ciężkiego stanu dał zaciągnąć i gdyby nie żal utraconych marnie lat czterech, nie wieleby zostało na usługę ołtarza. Gdyby to co uczą w ostatnim roku teologii, opowiadano zaraz na wstępie, nie jedenby zwinął chorągiewkę; ale szkoda lat, gdy jakoś tak nie straszno, jeżeli ten lub ów jest mimo wielkich błędów kapłanem ale nie święci garnki lepią, ale inne rozmysły zachęcą młodzież, że się poddaje losowi swojemu.

Przedmioty dość łatwe i w języku narodowym. Po tylu latach slyszysz nareszcie dźwięk ojczystej mowy, jeśli nauczyciel sam włada dobrze tym językiem. Nauczycielem nauki pasterzowania był ks. Ziemiański, ksiądz fanatyk, bez znajomości ducha i ludzi, wcale nieutalentowany i nadmiarę bigot i z bigoteryi sądził o duchu i poświęceniu swych uczniów. Kto lepiej oczyma wywracał, kto główkę niżej zwieszał, kto się bił mocniej w piersi, ten był u niego doskonalszym, ale się zawiódł nie raz, poznał hipokrytów w tych, których miał za doskonałych.

W tej mierze podobał mi się ks. biskup, który przy święceniu przemówił raz do kapelana: „gdybym nie musiał, to bym tego nie święcił, tak strasznie oczami wywraca“. I nie zawiódł się, bo ów nowo wyświęcony kapłanek stał się później najszkaradniejszym kutwą i zdziercą ludu. Grosz był bożkiem jego.

Ks. Ziemiański słynął z swojej pobożności, z miłosierdzia i nudziarstwa; lecz gdy dochrapał się kanonii gremialnej, gdy się pokazała w nim żyłka łakomstwa, a nawet oszustwa, stracił na swym blasku. Poznano się na farbowanych lisach.

Drugim nauczycielem duchownym tak zwanej katechetyki był ks. Rulikowski Daniel. Zrodzony to katecheta pociągał do siebie młodzież i dziatwę i gdyby był do tego pracowity, powinien był wydać katechetykę praktyczną, bo miał do tego wrodzony talent — ale dostawszy probostwo, zagrzebał się w gospodarstwie. Przez swą łagodność i powierzchowność pociągał do siebie, ale w gruncie serca był brudny, łakomy, chciwy honoru i okrutny, mógłby należeć nawet do sądu Torkwemady.

Rusi. Był to hr. Stanisław **Dzieduszycki**, który tak się odezwał:

„Wznoszę toast na pomyślność Rusi, a z nią na pomyślność kraju całego, całej Ojczyzny naszej, albowiem to co Bóg i dzieje połączyły, tego żadna siła rozłączyć nie zdoła.

Tej Rusi, na której ziemi urodzeni jesteśmy, której piosnkami piastunka płacz dziecięcy ukoić, uśmiech na ustach naszych wywołać umiała.

Tej Rusi, dla której serca mieszkańców wszystkich dzielnic kraju, z równie rzewnem jak gorącem uczuciem miłości biją.

Tej Rusi, która zachowując wszechstronnie swoją odrębność, zasady swej wiary w Rzymie, a cywilizacyę od Zachodu czerpie.

Tej Rusi, która przez wspólnych wrogów naszych gnębiona, pragnie zneleść schronienie od lodowatych wichrów Północy, szuka pola i miejsca dla utrzymania i rozwoju wszystkiego co jej najdroższem.

Tej Rusi, która dzisiaj u stóp prastarego grodu książąt halickich gniazdo sobie ściele, której czcigodny książę Kościoła, wstępujący dzisiaj na tron biskupi, własnemi jego, a głębokiego znaczenia słowy, na sztandarze swym nakreślił „Unja".

Widzę w tem, widzimy wszyscy wyraz uczuć religijnych całego Episkopatu ruskiego, — a czytamy wyraz uczuć narodowych wszystkich Mało-Rusinów.

Taką to Ruś sobie wymarzyłem, o takiej od lat młodzieńczych śniłem, za taką przodkowie moi mienie i życie poświęcali, taką dzisiaj w bliskiej przyszłości widzę, taką z głębi mej duszy ukochałem, i to uczucie, jako najświętszy skarb, dzieciom mym przekażę.

Na takiej to Rusi pomyślność toast mój wznoszę: niechaj około tego gniazda, gdzie ów sztandar, w imię Boże wysoko wzniesiony, zlatują się, krążą, siły i ducha czerpią, orły, czy to z pobliskiej Czarnohory, czy z dalekich stepów małoruskiej ziemi.

Wybaczcie, jednak świętość sprawy ośmiela mię zakończyć słowy: „Chwała Bogu na Wysokości" za to wielkie rozpoczęte dzieło miłości i zgody — „a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Niech żyje nasza Ruś!

Mnohaja lita!

Nemezis

czyli

KLIENCI „STRAŻNICY POLSKIEJ".

Tak jest, „Nemezis" — jestto nieubłagana pani, która prędzej czy później spełnia nieubłaganie swe wyroki na tych, którzy kiedykolwiek wpisani zostali na jej wocandę. I gdyby społeczeństwo zechciało zajmować się statystyką takich wyroków, toby się przekonało, o nieubłagalności tej wyroczni i że gdy jakiemuś śmiertelnikowi, uda się umknąć z pod jej miecza sprawiedliwości, to go dosięga tenże chociaż w drugiem pokoleniu. Niezaszkodzi przypomnieć chociażby najstarszym Czytelnikom *Strażnicy pol.*, iż w dziejach dziennikarstwa polskiego niebyło przykładu, aby którakolwiek redakcya była tak spotwarzaną, nieomal piętnowaną publicznie, obrzucaną błotem, kopaną moralnie nogami, jak nasza, t. j. byłego *Sztandaru pol.* i *Strażnicy pol.*

A jednak Bóg Wszechmocny i czyste sumienie, dodawały nam odwagi do wytrwałości, w tej niepojętej dla nikogo walce. Ileż to potrzeba było sił moralnych, aby wytrzymać wszystkie oszczerstwa — **przez lat siedm**. Jakiż to gorzki był żywot, gdy były nawet chwile, że ci, z którymi — jak to mówią — bęczkę soli się zjadło, niemogąc pojąć, iż ktoś — zwykły śmiertelnik postanowił wytrwać do końca, dopóki się duch w ciele plącze — odsuwali się od nas lub odwracali zupełnie, lub nietaili się z wahaniem, czy mają podać dłoń redaktorowi *Strażnicy* lub nie. A pomimo tego, gdy pytał ktoś redaktora: „Człowiecze co czynisz? czy nie widzisz, gdzie cię twoje postępowanie zaprowadzi?"

— „Co zrobisz, gdy spalisz za sobą wszystkie mosty? Pamiętaj, że masz synów, którym winieneś zostawić dobre imię po sobie!"

— „Tak jest, o tem pamiętam i nigdy nie zapomniałem, co winien jestem cieniom ojców moich i moim dzieciom, a gdy wszystkie mosty będą spalone — **to pójdę wpław**, bo wiem o tem, że Bóg wszechmocny, w którego wierzę nieopuści mnie i da zwycięstwo".

I rzeczywiście; kto tak wierzy, tego łaska Boża nieopuszcza i musi zwyciężyć, chociażby w ostatniej chwili żywota — zwyciężyć moralnie.

Dziś też inaczej się już zapatrują, nawet najzaciętsi wrogowie, bo dziś nie my, nie *Strażnica pol.*, ale oni doznają pogromu; maska kłamstwa pada z ich lic, gdyż „Nemezis", wstępuje w swoje prawa. Obecnie nasi zacni przyjaciele polityczni, żądają wprost od nas, ażebyśmy dokonali spisu tych wszystkich faktów, za które nas piętnowano „**rewolwerami**", a nawet — „**oprawcami**" A jak się dzisiaj zdemaskowały te wrzekome oszczerstwa. Na taki spis, przyjdzie jeszcze czas, gdy już czuć będziemy, że ręka bezwładnieje, a oczy pokrywa mgła. Teraz jednak, zapisywać tylko będziemy bieżące fakta, które „Nemezis" powołuje na porządek dzienny i tak:

Drugi rok temu, pojawiła się na całym obszarze Galicyi książka, i rozdana następnie wszystkim posłom na Sejm krajowy, a redakcya *Strażnicy pol.* podała najważniejsze ustępy. A szło tu o to, że jednemu z posłów na Sejm krajowy, uczyniono tak straszne zarzuty, które powinny, aż do chwili oczyszczenia, zamknąć przed nim drzwi Izby sejmowej. Niewchodzimy w to, czy oskarżony jest rzeczywistym winowajcą czy nie i wiemy tylko o tem, że bez poprzedniego udowodnienia swej niewinności, niepowinien ani na chwilę zajmować krzesła poselskiego. Stało się jednak inaczej, bo gdy pewna warstwa społeczna u nas w kraju, uważa się, że stoi wyżej ponad wszelką opinię publiczną i jak p. Platon Kostecki (nadworny jej wieszcz) twierdzi, że:

„Jak za moskalem wisi knut i pałka,
A z taistry francuskiej buława marszałka,
Tak Polak nosi z sobą mandat Boga, Polski
I czy spi, czy je, spełnia urząd apostolski.
Polak, byle niezdrajca, choć **rozbija kradnie**,
Choć przegrał honor, nosi w sercu swoim [na dnie
Ogień piękniejszy niż gdy teutońska dusza,
W bój za ideał z piórem lub mieczem wyrusza".

(Toast na otwarcie nieustającej wystawy sztuk pięknych, wygłoszony w Kole literackiem).

Tak też niestety, zapatrywali się i posłowie w Izbie sejmowej, gdy przy weryfikacyi wyborów, uznali p. Jana Kochanowskiego za godnego, aby w ich gronie zasiadał.

„Nemezis" – inaczej się jednakowoż na tę sprawę zapatruje, jak tego dowodzi ustęp, opiewający dosłownie w sprawozdaniach stenograficznych, z **rozpraw galicyjskiego Sejmu krajowego**.

15. Posiedzenie 3. sesyi V. peryodu Sejmu galicyjskiego, z dnia 20. grudnia 1885 r.

JW. **Marszałek**. Do Wysokiej Izby nadeszło pismo z c. k. Trybunału krakowskiego, które pan Sekretarz zechce odczytać.

Sekretarz p. Dr. Stanisław hr. **Badeni** (czyta):

„Z c. k. Sądu krajowego w Krakowie L. 21.974/kar. do Wysokiego Sejmu krajowego na ręce Jaśnie Wielmożnego Pana Marszałka we Lwowie.

Wysoki Sejmie!

Tutejsza c. k. Prokuratorya Państwa postawiła wniosek na wytoczenie śledztwa wstępnego przeciw Janowi Kochanowskiemu o **zbrodnię oszustwa** oznaczoną w §§. 197. i 200. k. k. popełnioną przez to, że w zamiarze wyrządzenia szkody i przysposobienia sobie bezprawnych korzyści, jako egzekutor rozporządzenia ostatatniej woli Apolonii Jordanowej, oraz jako sukcesor tejże w roku 1880. przedłożył c. k. Sądowi krajowemu w Krakowie, a względnie komisarzowi sądowemu c. k. Notaryuszowi Konstantemu Ramultowi. fałszywy rachunek kapitałów do spadku ś. p. Apolonii Jordanowej należących, przez co rzeczony c. k. Sąd petrakcyjny, oraz legataryuszów, małoletnią Joannę i Eugeniusza Jordanów, a względnie także i rzeczywistych współsukcesorów w błąd wprowadził, przez ktore to podstępne działanie rzeczeni legataryusze, a względnie i ustawowi współspadkobiercy na szkodę powyżej 300 zł. narażeni zostali. Sędzia śledczy zgodził się na ten wniosek c. k. Prokusatoryi Państwa i zaprowadził w dniu 12. Września 1885. przeciw Janowi Kochanowskiemu śledztwo wstępne w powyższym kierunku. Ponieważ Jan Kochanowski przeciw temu postanowieniu sędziego śledczego wniósł zażalenie do Izby radnej tutejszego c. k. Sądu krajowego karnego, Izba radna z uwagi na to, że w danym wypadku nie mogła się dopatrzeć istoty zbrodni oszustwa ustawą wymaganej, uchwałą z dnia 26. Listopada 1885 L. 20.827 postanowiła zaniechać śledztwo wstępne przeciw Janowi Kochanowskiemu o zbrodnię oszustwa. Atoli wskutek zażalenia przez c. k. Prokuratarye Państwa przeciw co dopiero wspomnionej uchwale Izby radnej wniesionego, c. k. Sąd krajowy wyższy decyzyą z dnia 9. Grudnia 1885. L. 21.482 wspomnioną uchwałę Izby radnej z dnia 26. Listopada 1885. L. 20.827 uchylił i postanowienie na zaprowadzenie przeciw Janowi Kochanowskiemu śledztwa wstępnego o zbrodnię oszustwa w powyższym kierunku w swej mocy utrzymał.

Foniewaź Jan Kochanowski jest posłem na Sejm krajowy, przeto w myśl ustawy z dnia 3. Października 1861. L. 98. Dz. p. p. i ustawy z dnia 13. Stycznia 1874. L. 8. Dz. ust. i rozp. kraj. mamy zaszczyt donieść o tem Wysokiemu Sejmowi z prośbą o udzielenie zezwolenia do ścigania sądowego.

Ponieważ odpisanie uchwały Izby radnej z dnia 26. Listopada 1885. L. 20.827 obejmującej 58 stronic, oraz dycyzyi c. k. Sądu wyższego z 9. Grudnia 1885. L. 21.482 wymagałoby więcej

---

Na tym ostatnim roku wyrabialiśmy różne mowy, kazania, występowali w katedrze i u Reformatów i katechizowali studencików. Moje wyroby były dobre i celujące, wymowa zaś namiętna, do serca. Po upływie roku celujące otrzymawszy klasy, ćwiczyliśmy się w odprawianiu liturgii, w odmawianiu brewiarza i t. p.

Fuchs był ciągle rektorem i sprawował gorliwie urząd żandarma. Razu pewnego pochwycił ks. Sleczkowskiego natenczas kleryka z pierwszego roku, na czytaniu zakazanej książeczki. Z największą złością pyta się go, skąd ją dostał, a tłumaczenia, że ją znalazł na drodze, przyjąć nie chciał, tylko do wydania kolegów, od których tę książeczkę odebrał, siłował. A gdy ks. Sidon przy swojem obstawał, postanowił go wypędzić ze seminaryum. W tym celu pobiegł do ks. biskupa i pokazując książkę w przytomności kapelana ks. Ilińskiego, późniejszego proboszcza w Rzeszowie, rzekł: „Jego Excellencya dopiero co zakazał czytania książek zakazanych, a oto złapałem kleryka na czytaniu tej książki". — „Co to za książka? — A założywszy okulary przeczytał: „Polska nad brzegami Wisły — przez Raspaila — Paryż". Zakazana, ale nie rozgłaszaj — nie mów nikomu i wypędź go potajemnie".

Odszedł ks. Fuchs i myślał nad tem, jakby tu wykryć spisek jaki i zasłużyć się u rządu — u Czecza. Przyszedłszy do seminaryum zwołuje kolegów ks. Sidona jednego po drugim i bada ich, czy nie widzieli książeczki u niego i w jakich kompaturkach; ale koledzy ze sztabu fuchsowego nie widzieli jej, a patryoci nie wydali. Gdy to śledztwo się nie udało, poczyna Sidona namawiać i obiecywać mu, że zostanie, że go będzie miał w łasce i t. d. inaczej za trzy dni pójdzie precz, a może i pod broń. Byłem w obawie, aby słaby duch ks. Sydona nie dał się złamać i nie wydał mię, bo odemnie tę książeczkę pożyczył, a tak byłoby nas dwóch porzuciło seminarz; ale ks. Sydon niedał się zatrwożyć, obstawał ciągle przy jednem i podany był do ekskluzyi. Fuchs chcąc dojść kłębka po nitce rozpoczął rewizyę na wielką skalę, znów wytrychy były w robocie, znów kuferki splądrowano. Plądrując tak po kuferkach, znalazł w kuferku ks. Dimla (dziś proboszcza w Dubiecku) świadectwa, na których na odwrotnej stronie był napis: politycznie podejrzany. Ks. Dimmel był wmięszany w Samborze w ów spisek studencki 1837, a niemcy mszcząc się pokalali mu świadectwa z gimnazyum. Później pozwolono mu chodzić na filozofię, a skończywszy takową we Lwowie, przybył do seminaryum r. 1842. Fuchs czytał tylko świadectwa z filozofii a słysząc niemieckie nazwisko i że do niego po niemiecku się odezwał, polubił go i cieszył się w duchu, że będzie miał z Dimla narzędzie do swych planów. Jakież było jego rozczarowanie, gdy na świadectwie przeczytał owe złowrogie słowo. Zadrżał i postanowił Dimla wypędzić, przypisując jemu pochodzenie owej zakazanej książeczki. Przywoławszy więc Dimla do siebie, bada o świadectwo, wyrzuca mu podstęp i radzi mu wynieść się z seminarza; ale gdy Dimel obstawał przy swym zamiarze zostania kapłanem, począł mu grozić, że mimo ukończenia teologii nie dopuści, aby został kapłanem, że go będzie ścigał. Zmięszany młodzieniec i przyjaciel mój (obaj z jednego miasta) już się chciał zdecydować do wystąpienia; ale go zbiłem z błędnego przedsięwzięcia i utrzymałem, że pozostał mimo ciągłego prześladowania i śledczego oka Fuchsa.

Dręczył go Fuchs, nie dając mu rewerendy, koszul, butów, ale gdy widział niezłomność jego, dał mu pokój; mimo jego uwzięcia się, ks. Dimmel został kapłanem.

Lecz wracam do ks. Sydona. Podany do ekskluzyi ks. biskupowi już miał otrzymać wyrok, gdy poczciwy kapelan, odwlókł sprawę i nie podawał biskupowi do podpisu. Ks. Fuchsa ujęto tem, że biskup mu to za złe ma, że nie spalił książki tylko dybał na ekskluzyą porządnego kleryka. Więc Fuchs przycupnął, stary biskup zapomniał, a ks.

czasu, przeto ograniczamy się na powyższem doniesieniu.

Jeżeli jednak Wysoki Sejm odpisów tych, ewentualnie aktów dotychczasowego dochodzenia sądowo-karnego zażąda, nie omieszkamy żądaniu temu natychmiast zadość uczynić.

Kraków 16. Grudnia 1885."

Zapytujemy teraz tych pp. Posłów, którzy z taką gotowością wotowali za przyjęciem p. Kochanowskiego w Sejmie, czy się godziło dopuszczać do takiej ostateczności, aby aż c. k. Prokuratorya państwa, zmuszoną była uwolnić Izbę sejmową od tego posła. Jeszcze raz powtarzamy, że nam jest obojętnem, czy p. Kochanowski jest winien lub nie; lecz gdy mu były zarzucane zbrodnie oszustwa i kradzieży, nie było dla niego miejsca w Izbie sejmowej aż do chwili oczyszczenia się z zarzutów.

Jakież to okropne i monstrualne pojęcia są dzisiaj o honorze i czci obywatelskiej! Boże wszechmocny, zlituj się nad nami! daj nam znanie i upamiętanie!

Druga sprawa, jaka jest na porządku dziennym we Lwowie, a o której dziennikarstwo lwowskie milczy i tylko *Kuryer lwowski* podał króciutką, mglistą wzmiankę, dotyczy także jednego ze starych klientów *Strażnicy polskiej*.

Mniej więcej przed dziesięciu laty, gdy to tak szumnie rozwijano sztandary pracy organicznej, przybyło do Lwowa kilka osobistości, z których mianowicie jedna zaczęła zadawać szyku, nawet w tak zwanem „towarzystwie" — a więc wyższych sferach społecznych. Gęsta mina, nazwisko dawne szlacheckie, jakkolwiek niebardzo dźwięczne w dziejach, swada i pytlowanie językiem frazesów patryotycznych o zadaniu pracy organicznej i z nienacka rzucane wskazówki, na pełną kieszeń osobnika, w czem mu mianowicie jego polityczni agenci pomagali, otworzyły przystęp p. Gamratowi i odrazu stał się poważną osobistością na gruncie lwowskim. Niedługo potrzeba było wyczekiwać, a p. G a m r a t postanowił zamienić apostolstwo pracy organicznej w czyn, stawszy się jednym z głównych członków „Gründerów" którzy otworzyli w gmachu teatralnym „g a l i c y j s k i B a n k k r e d y t o w y z a s t a w n i c z y", mając na celu ratować od chwilowej biedy i nędzy, zaczą wszy od najniższych warstw społecznych, działając wyżej i wyżej, otwierając źródło pomocy w ogóle tym wszystkim, którzyby mogli, zacząwszy od koszuli lub poduszki, aż do srebra, złota i drogich kamieni, znosić do tej f i l a n t r o p i j n e j i n s t y t u c y i te przedmioty, na pewność dawanych zaliczek pieniężnych.

Wobec zniesienia lichwy, zakład ten świecił niezwykłymi rzeczywiście zasadami filantropii, bo pożyczał tylko **na 24 do 36%**.

Powaga p. G a m r a t a i drugiego szlachcica, jego wspólnika po duchu, a skoligaconego w Galicyi z różnymi domami szlacheckimi, umiała przyciągnąć i innych szlachciców, którzy poczynili wkładki, czyliż pobrali udziały, płacąc gotówką, a to jedynie dla celów filantropijnych.

Dzienniki lwowskie głosiły chwałę i sławę założycieli, apostołów pracy organicznej, a pan G a m r a t, dyrektor zakładu zastawniczego, stał się rzeczywistą powagą we Lwowie, zapraszany był na wszystkie zebrania patryotyczne, prowadził dom otwarty i szczególny wzgląd miał dla dziennikarzy lwowskich, pozostających w nieustającej styczności z Bankiem zastawniczym w teatrze. Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy narodek lwowski, który ma jakieś swe szczególne poglądy, zaczął na głos wywoływać nawet po ulicach, nazwawszy instytucyę filantropijną „Szmatenbankiem" — „z ł o d z i e j e ! r a b u s i e !" — a echo echu podawało to hasło od rogatki do rogatki. Od tego czasu, zaczęły na jaw wychodzić tak oburzające fakta tego rozboju, że niejednokrotnie odgrywały się sprawy — w sądzie karnym krajowym.

P. G a m r a t umiał jednakowoż zawsze dowieść i udowodnić świadkami, że to są nieuzasadnione oszczerstwa, rewolwerowe napaści, a przedewszystkiem podziemne machinacye, usiłujące zniweczyć wszelki zaród organicznej pracy we Lwowie. Bezkarność p. G a m r a t a i S k i zaczęła rosnąć w siłę, rozbijać, kraść, rabować, oszukiwać w biały dzień, a to wszystko pokrywać wyższymi celami narodowo-filantropijnymi.

Przytoczymy chociaż jeden kawałeczek natury humorystycznej: W „szmatenbanku" był n. p. ten zwyczaj, że jeżeli zastawił kto tam jaki przedmiot, a spóźnił się chociaż o dobę z wykupnem, to aczkolwiek Dyrekcya była uprawniona po trzech miesiącach dopiero fant sprzedać, odpowiadano właścicielowi, że już teraz został sprzedany. Otóż jeden obywatel lwowski, znajdując się w chwilowej potrzebie, zastawił nowiuteńkie futro tumakowe, a zjawił się po wykupno zamiast dziś, dnia następnego. Dano mu lakoniczną odpowiedź, że futro zostało co tylko sprzedane, ponieważ go wczorajnie wykupił, a dodajmy, że zastawił to futro za czwartą część wartości. Przez fałszywy wstyd nie miał odwagi udania się do Policyi i Prokuratoryi.

Cóż się jednak dzieje. Oto w kilka dni później, siedząc wieczorem przy kolacyi, w restauracyi pod trzema koronami, dokąd przyszedł tylko w paletocie, widzi, że wszedł do restauracyi jeden z urzędników „Szmatenbanku", ubrany w jego piękne tumaki, zawiesił takowe na kołku, a sam usiadł również do kolacyi. Nasz obywatel szybko się załatwił z jedzeniem i zapłatą, a wychodząc, zbliża się do swoich tumaków, zdejmuje z kołka i ubiera się w nie.

Urzędnik "Szmatenbanku" spostrzegłszy to, przystępuje do obywatela i mówi z naciskiem:

— Panie! to moje futro.

— Przepraszam pana — brzmi odpowiedź obywatela jeszcze z większym naciskiem — to moje futro!

Urzędnik „Szmatenbanku" zamilkł, właścicielowi było cieplej z powrotem do domu, a gdy następnego dnia odesłał pożyczone pieniądze do banku, nowy nabywca tumaków, urzędnik, nie śmiał ani słowa przeciw tej spłacie zaprotestować, a tem mniej upominać się o futro.

Figielek ten, podaliśmy przed kilku laty w *Strażn. pol.* w jednym z licznych artykułów, opiewających złodziejstwa i rabunki, dokonywane w „Szmatenbanku" pod dyrekcyą p. Gamrata i Ski. A wołaliśmy głośno i wtenczas, zwracając uwagę c. k. Policyi i Prokuratoryi państwa na to co się dzieje w banku zastawnicsym w gmachu teatralnym, co możemy udowodnić odnośnymi Nrmi z tych czasów. Jedyny skutek był ten, że p. G a m r a t i S k a, którzy używali wielkiej powagi we Lwowie i byli ludźmi bardzo wpływowymi, zaliczali się do śmietanki towarzyskiej, krzyknąwszy na nas: „r e w o l w e r ! o s z c z e r c a !" i t. d. wypowiedzieli nam tak zaciętą wojnę, że redaktor *Strażn. pol.*, zmuszony był zażądać pozwolenia od c. k. Dyrekcyi policyi, noszenia prawdziwego rewolweru w kieszeni, dla własnej obrony. Wyjście zaś na ulicę tegoż, a nawet chwilowy pobyt w kawiarni cukierni lub gdziekolwiek w publicznem miejscu, stało się wprost niemożebnem bez rewolweru w kieszeni i żelaznej laski w ręku.

Gdziekolwiek p. Gamrat lub jego wspólnik się pojawił, snuły się za nimi ogony dziennikarzy i różnych patentowanych patryotników, z których niejeden odgrywał rolę pośrednika w rabunkach "Szmatenbanku".

Pod sztandarem takiej obrony patryotnictwa, p. G a m r a t nie różnił się niczem i nieustępował znanemu Neczyporowiczowi, a rozboje jego trwały, coś około lat dziesięciu.

Bank zastawniczy w teatrze, pracował filantropijnie na bardzo szeroką stopę, bo stał się najstępnie najbezpieczniejszym depozytem, w którym złodzieje, włamywacze, rabusie, ukrywali i sprzedawali swe zdobycze.

Przytoczmy choć jeden fakt. Żyd, oszust i złodziej prosty, bez stałego zatrudnienia, bez firmy, handlu i pracowni, mieniące się posiadaczem składu fortepianów we Lwowie, zdobywa na kredyt za granicą dziesięć fortepianów, które mu fabrykant przysyła do Lwowa. Oszust, nie wykupiwszy takowych nawet z kolei, udaje się do p. G a m r a t a i fortepiany te zastawia za bezcen. „Szmaten ank" sprowadza je do siebie, a żyd zmyka do Ameryki.

Czynimy uwagę, że zastawił wszystkie fortepiany, jakie był sprowadził; a że nie miał składu, o tem wiedział p. G a m r a t i S k a.

Idźmy dalej. Jeżeli kupiec lub jaki handlarz lwowski postanowił zbankrutować i okpić swoich wierzycieli, umawiał się z p. G a m r a t e m i Spką i wszelkie swe zapasy towarów, chował cichaczem w Banku zastawniczym w teatrze, przyczem Bank robił świetne interesa.

Z latami nabyli urzędnicy bankowi takiej wprawy, iż znali jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z fizyognomii każdego złodzieja, który przynosił wrzekomo na zastaw przedmioty. Wiedzieli z doświadczenia, że ten osobnik nigdy zastawów swoich nie wykupuje, a więc dawano mu nadzwyczaj niskie ceny i to był jeden z najlepszych, a ciągłych geszeftów "Szmatenbanku".

Najohydniejsze rozboje działy się podczas licytacyi przedmiotów zastawionych, a odbywały się tak jawnie, z takim spokojem i bez wszelkiej obawy, iż można było mniemać, że Bank zastawniczy posiada jakiś list żelazny, uprawniający go do takiego rabunku cudzego mienia. Czasami tylko miały miejsce gwałtowne sceny, nawet pomiędzy dyrekcyą a urzędnikami lub pośrednikami, ale to wtenczas tylko, kiedy szło o podział łupów. Nie trzymano się statutów obowiązujących, wyzyskiwano i rabowano nawet największych biedaków i nędzarzy. Było to rzeczą bardzo zwykłą i na porządku dziennym, że jeżeli biedak jaki zastawiał poduszkę lub inną część pościeli wartości 10 do 15 złr., szacowano takową od 2—4 zł., a pożyczano gotówką $^2/_3$ tegoż szacunku. Biedak zgłasza się nawet we właściwym czasie i chce wykupić, odpowiadają mu jednak lakonicznie, że fant gdzieś zaginął, lub został zamieniony, a jako odszkodowanie, wypłacają mu resztę czyli dyferencyę pomiędzy udzieloną pożyczką z oszacowaniem. Tacy biedacy zdobywali się z początku na odwagę, i

---

Sydon został kapłanem i to wzorowym, dziś proboszczem w Szarzynach, kanonikiem i spowiednikiem papieskim — a może dalej posunie?

Ciężkie to były czasy rektorstwa Fuchsowego. I na cóż mu się to wszystko przydało. Posunął wprawdzie na prałata — ale do infuły daleko — a może! bo podłość chodzi przebojem. Zbliżyły się wakacye, rozpuszczono nas do domu rodzicielskiego, z rozkazem stawienia się do święcenia na 18. Sierpnia.

Kapłaństwo.

Urocza to była chwila, gdy 16 nas młodzieńców, 24 a może trochę więcej lat liczących, odbierało poświęcenie do usługi ołtarza kościoła katolickiego. Ks. biskup Zacharyasiewicz nie rozciągał się z tym aktem, nie robił korowodów, ale w trzech dniach blisko po sobie następujących uwinął się z poświęceniem, udzieliwszy nam 27. Sierpnia subdyakonat, 29. dyakonat, a 1. Września presbyteryat.

Wziąwszy rozbrat z światem i jego rozkoszami, staliśmy się kapłanami z tem mocnem przedsięwzięciem, aby nauczać i prowadzić do zbawienia. Nawet nie byliśmy zaproszeni na obiad do ks. biskupa, jak było w zwyczaju u dawniejszych, tylko wypytawszy nas o udzielaniu rozgrzeszenia w spowiedziach, pobłogosławiwszy nas, rozpuścił w świat bez wszelkiej przemowy, jakby najemników.

Zaciągnąwszy u żydów dług, biorąc sukno, płótno i inne towary na uporządzenie siebie, ojca i matki, pożegnawszy towarzyszów czteroletnich studyów i ks. profesorów, odebrawszy aplikatę (czyli stacyę pasterzowania) jako wikary do Jasionowa w dek. sanockim, wyjechałem do rodziców, do grodu rodzinnego, do Sambora, w towarzystwie dwóch kolegów. Na noclegu w karczmie żydowskiej jeden z nich dobył browiarza i nuż mówić pacierze. Zaśmiałem się w duchu z takiej hypokryzyi i rzekłem po łacinie: nie wypada bracie, abyś tu w karczmie boruchy odmawiał, ot zmów pacierz i połóż się do spoczynku. Nie wiem, czyli po roku trzymał się tego nakazu.

Przyjechawszy do Sambora i uporządziwszy się, przebrany w suknie kapłańskie (sutannę) udałem się do ks. kanonika i proboszcza samborskiego Jedlińskiego, aby mu złożyć uszanowanie i prosić o pozwolenie ołtarza do pierwszej mszy św. Postanowiono d. 8. Września odprawić promocyę. Będąc ubogim, nie mogłem spraszać gości. Dobrze, że ks. kanonik sam wezwał kilku gości i sprawił obiad skromny. Masa ludu była na nabożeństwie, śpiewałem wysokim tenorem, że aż organista nie mógł odpowiadać, pot lał się strumieniem ze mnie, ledwie ukończyłem. Przystąpiłem do siśnięcia głowy kochanym rodzicom, braciom i krewnym. Płacz i szlochanie z radości, że się doczekali spełnienia swych życzeń, że mając księdza w rodzie, bieda im nie dobodzie. Dwie godzin kładłem ręce na głowę, bo ludu było z 5.000, taki natłok.

Po uczcie wnosząc toast na podziękowanie ks. proboszczowi, a potem zacnym gościom, udałem się do domu, gdzie małą ucztę wyprawiłem krewnym, przyjaciołom i znajomym samborzanom, skromną jak mój majątek i stan. W kilka dni pojechałem do Dublan wsi, gdzie mój przyjaciel i kolężka ks. Terlecki odprawiał premicye, a potem ucztę w swojej zagrodzie na Foroszczu, bo pleban sławny kutwa nie zajął się nim. A po upływie kilku tygodni, w pracach których miałem kazanie i raz summę, pożegnawszy rodziców, pojechałem na swoje wyznaczone miejsce, 15 mil dalekie, dwie mile za Sanokiem, zaciągnąwszy dług u żydów, bo nie miałem grosza. Wielkie to dla alumnów nieszczęście, że wychodząc z seminarza nie dostają żadnej zapomogi od rządu albo z funduszu religijnego, tylko muszą się na wysoką lichwę zapożyczać i przez lat kilka wypłacać nim z tych długów się wydobędą.

(C. d. n).

skarzyli do Sądów; sprawa taka wlokła się rok i dwa, a gdy biedak nie miał nadwornych adwokatów i ezem ich opłacać, a sam się nie umiał bronić — przegrywał proces.

P. dyrektor Gamrat był to człowiek bardzo przemysłowy i uczynny; to też zaczął z operacyami swemi wypływać na szerszą wodę. Bank jego przyjmował także pieniądze na książeczki oszczędności, a wkładali na takowe mianowicie ludzie, którzy w pocie czoła odejmując sobie od ust, składali grosz po groszu na wypadek czarnego dnia i doli, któreby ich mogły spotkać. Ale zdarzało się dosyć często, że jakiś pośrednik przyprowadzał panu Gamratowi klienta, który potrzebował znaczniejszej kwoty pieniężnej na 1000, 2 lub 3 tysiące złr. a kredytu nie miał lub go zupełnie wyczerpał. Wtenczas dyrektoryat przychodząc mu w pomoc, zabezpieczał się na towarach, lub znajdywał inne dostateczne pokrycie, na które klient wystawiał cerografy znanemu tylko w świecie najodważniejszych lichwiarzy. Bank natomiast wręczał mu najformalniejszą książeczkę oszczędności, opiewającą naturalnie większą sumę, aniżeli klient potrzebował. Ten szedł potem z tą książeczką do innego zakładu finansowego i tam ją zastawiał.

Naturalnie, że na taki dokument depozytal ny otrzymywał żądaną kwotę. Jak tam potem wyglądał ten klient, gdy nie mógł na czas tej książeczki wykupić, można sobie łatwo dośpiewać, jeżeli to był człowiek, który jak tonący zmuszony był chwytać się brzytwy.

Można uwierzyć, że zyski Szmatenbanku były ogromne; ale cóż z tego, gdy były bezwzględnie rabowane przy podziale tych łupów do tego stopnia, że nie zadowalniano się uzyskanymi procentami lichwiarskimi, lecz rozszarpywano pomiędzy siebie i kapitał. Gospodarka taka musiała się prędzej czy później smutnie skończyć, a gdy już Szmatenbank zaczął cuchnąć trupem, wspólnicy p. Gamrata dyrektora, zaczęli się wynosić cicha czem jak szczury z okrętu, który ma zatonąć.

Nareszcie nadeszła chwila, że i następca Neczyperowicza p. dyrektor Gamrat nie uważał się za bardzo bezpiecznego, a widok krat kryminalnych przy ulicy Halickiej budził w nim pewną obawę. Wynalazł więc przyczynę do pozornego, ważnego interesu zakupna lasów za Kordonem czy coś podobnego, która potrzebuje jego dłuższej obecności. P. dyrektor Gamrat dał sobie urlop i wyjechał ze Lwowa w Kwietniu roku zeszłego, — aby więcej nie powrócić. Od Kwietnia aż do Września zapowiadano ciągle jego powrót, ale od tego czasu zaczęto sobie coraz częściej powtarzać, że każdy przeciętny lwowianin prędzej swoje ucho ujrzy, aniżeli pana Gamrata. Dziwnie wobec tego wygląda spokój świetnej Rady zawiadowczej Szmatenbanku, a w której miał bardzo gorący i czynny udział brać pewien kapłan lwowski. Być może, że nad tym spokojem raczy się bliżej zastanowić c. k. Prokuratorya Państwa.

Ruch w Szmatenbanku kulał podobno znacznie, ale pomimo to nie ustawał, a wyżsi funkcyonaryusze i zastępcy dyrektoryatu twierdzili, że niema najmniejszej obawy. Od niedawnego czasu zaprzestano pożyczać na odzież, pościel, bieliznę i t. d., zastawów takich nie przyjmowano, a tylko złoto, srebro lub inne klejnoty, na które udzieliwszy pożyczki, po nader niskiem oszacowaniu przedmiotów, nawet złota i srebra, odnoszono te fanty bezzwłocznie do innych banków w zastaw.

Nareszcie przyszedł peryod, że już i ta procedura zaczęła kuleć, w magazynach na fanty inne świeciła coraz większa pustka. Podobno i tam mają być bardzo widoczne ślady rabunku popełnionego, gdy już okręt Szmatenbanku zaczął na pewnika tonąć. Wszystkie wkładki, a podobno opiewające na kwotę ogólną kilkunastu tysięcy złr. znikły, pozostały tylko książeczki w rękach wierzycieli, ale bez pokrycia. Dziś wszystkie przyczyny rabunku spadać mają na Gamrata i wszelkie winy składane tak samo jak to usiłowano spychać takowe przy zamknięciu lwowskiej Kasy zaliczkowej. Można jednak z pewnością poręczyć, że p. Gamrat nie przyjedzie do Krynicy nawet pod maską matrony. Otóż znowu pada ofiarą cały zastęp biedaków i nędzarzy, których okradziono i obrabowano w najohydniejszy sposób. Nic nie pomogły nawoływania i wskazówki, ale to jest do wytłumaczenia, bo pochodziły z takich plugawych pisemek zaułkowych, rewolwerów, jak — *Strażnica polska* i *Sztandar polski.* Ciekawem jest również, że jedyny tylko znakomity reporter *Kurjera lwowskiego* dowiedział się tydzień temu, że dyrektor Szmatenbanku uciekł dopiero przed kilku dniami ze Lwowa.

Mamy więc takim sposobem przed oczami nowy obrazek, ilustrujący świetnie prace organiczne w Galicyi.

Bank włościański — Bank miejski — Zaliczkowa kasa lwowska — Bank kredyt. zast. w teatrze — to na taką stolicę jak Lwów byłoby nareszcie dosyć tego dobrego; ale niestety mamy jakieś smutne przeczucie, iż maluczko, a ujrzymy przed oczami naszemi jeszcze inne trupy.

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że p. dyrektor policyi wskutek artykuliku w *Kurjerze lwowskim* udał się osobiście do Szmatenbanku, aby sprawdzić dzień odjazdu, recte zniknięcia p. Gamrata, dyrektora, — i dowiedział się, że tenże opuścił gród nadpełtwiański już w Kwietniu zeszłego roku. Bank zastawniczy w teatrze został ostatecznie zamknięty. Dzienniki lwowskie milczą jednakowoż i teraz o tym fakcie. Komentarze z tego powodu byłyby zupełnie zbyteczne.

Kryzis rolnicza w Galicyi.

Nikt temu nie zaprzeczy, że w każdem społeczeństwie wszystko od dobrobytu zawisło. A że Galicya jest krajem ściśle rolniczym, albowiem 94% ludności trudni się tylko rolnictwem, więc i dobrobyt naszego społeczeństwa zależy od dobrobytu rolników. Dążnością naszego wieku jest tworzenie kapitałów. Posiąść kapitały starają się wszystkie narody, które pojęły warunki egzystencyi. Świat giełdowy jest najpotężniejszym wyobrazicielem tego prądu, a pieniądze są główną pobudką wszelkiej pracy. Ekonomia polityczna dowiodła nawet, że cnoty i moralność mają za warunek i podstawę: pieniądze.

Jeżeli w takim kraju jak Galicya dał się uczuć rolnikom brak pieniędzy, więc musiała nastąpić kryzis, nad którą komitet Towarzystwa gospodarskiego się zastanawia i obraduje nad sposobami zapobieżenia większemu upadkowi rolnictwa, a przedmiotem obrad jest: reforma taryf kolejowych, ceł zbożowych i podatku gruntowego. Nie ma wątpliwości, że taryfa kolejowa i cło zbożowe, kryzis rolniczej nie spowodowały. Co do reformy podatku gruntowego, to jest wiadomo, że ustawa z 7. Czerwca 1881. Nr. 49. D. p. p. w art. I. ustanawia dla Przedlitawii na lat 15, ogólną sumę podatku gr. rocznie na 37,500.000 złr., z której na Galicyę przypada 5,558.605 zł. od dochodu 24,487.248 zł. według stopy procentowej $22^7/_{10}$. Ale to jest dopiero podatek przypisany (Steurvorschreibung) do którego dopłaca się $^1/_2$ tego podatku na dodatek państwowy, a znowu $^1/_3$ na dodatek krajowy, któreto dodatki wynoszą $15^4/_{30}$% od dochodu, co łącznie ze stopą prc. wynosi $37^5/_6$% od dochodu albo 9,264.340 zl. powinności podatkowej (Steuerschuldigkeit), którą w okresie 15-letniego katastru (od 1883 do 1897) ani zmniejszyć ani zwiększyć nie można. Reforma podatku gr. dlatego jest niewykonalną, bo musiałaby być wprowadzona powtórna regulacya podatków, ale nie dla Galicyi, tylko dla całej Przedlitawii. Proceder podatkowy zawiera zasady wedle których mają być podatki: 1) wymierzone, 2) rozłożone, i 3) uiszczone.

O wymiarze i rozłożeniu podatków po nowej regulacyi, mowy być nie może, albowiem jest to faktem dokonanym, ustawami sankcyonowane i wszystko to należące do historyi. Rozchodzi się tylko o uiszczenie podatków, które jak wiadomo, powinniśmy płacić w $^1/_4$ części kwartalnie z dołu w całości. Wyjątek od tej zasady stanówi podatek gruntowy, który w okresie 15-letniego katastru nie w całości, tylko sposobem stopniowanym od mniejszego do większego powinien być płacony.

Kiedy przy końcu r. 1880. miał W. c. k. Rząd to przekonanie, że po regulacyi z całej przedlitawii tylko w jednej Galicyi powinność podatku gr. zostanie podwojoną, albowiem dawna wynosiła 4,613.346 złr. a nowa wynosi 9,264.340 złr. więc wydano powyższą ustawę, która bacząc na tak nagłe podwyższenie, chciała zapobiedz obecnej kryzis i postanowiła w art. IV., aby ta podwyższona względnie podwojona powinność podatku gr. nie była początkowo w całości uiszczoną, tylko rok rocznie sposobem stopniowanym od dawnego do nowego podatku. J. E. pan minister skarbu objaśnił powyższą ustawę na 273 posiedzeniu Izby poselskiej dnia 2. Marca 1883 tak: (dosłownie) „Pozwoliłem sobie W. Izbie powiedzieć, że trzeba rozróżnić przypisanie podatku (Steurvorschreibung) od uiszczenia się z powinności podatkowej (Steuerschuldigkeit) i pozwalam sobie tylko przypomnieć W. Izbie, żem wówczas w obu Wys. Izbach wyraźnie powiedział, iż rządowi dobrze wiadomo, że w pierwszych 10. latach dochód z podatku gruntowego będzie uszczuplony, że uznaje konieczność stopniowego przejścia od dawnego do nowego podatku dla tych, którzy doznali w nim podwyższenia.

Owoż c. k. krajowa Dyrekcya skarbu przewidując rozmaite trudności w uiszczeniu nowego podatku gr. od r. 1881. przez pojedyńczych kontrybuentów, poleciła reskryptem z dnia 27. Listopada 1882 L. 2271/pr. wszystkim urzędom podatkowym, sporządzić z każdej gminy wykazy, ile każdy kontrybuent w r. 1880 podatku gr. opłacał i aby na podstawie tych wykazów pobierać w myśl powyższej ustawy w r. 1881 i 1882 dawną należytość podatkową z r. 1881 wraz z 10% a od r. 1883 mają te wykazy służyć za podstawę do obrachowania stopniować się mającego nowego podatku gr. W broszurze pt. „przestroga“ którą wszystkie wydziały powiatowe otrzymały, są sposoby i formularze do tego obrachowania uwidocznione, a w dzienniku *Gmina* Nr. 7. z r. 1884 jest w artykule powiedziano, że powinność podatku gr. nie ma być uiszczoną według nakazów płatniczych, tylko sposobem stopniowanym w myśl rzeczonej ustawy, albowiem nowo wydane nakazy płatnicze do tego mają tylko służyć, aby podług nich porównując dawny pidatek z r. 1880, obrachować to stopniowe przejśce

ZŁODZIEJE.

Być może nawet, że kogoś obrażę;
Nie jeden o mnie swą kopię skruszy,
Kiedy wyśpiewam co mam na duszy,
Lecz mam nadzieję, że ja go skruszę,
Prawdą słów moich winę mą zmażę,
Ale com zaczął — powiedzieć muszę!

Złodziej!... okropny wyraz to przecie,
Na jego odgłos strach cię ogarnie;
Dźwięczy on przykro, szorstko, niemile,
A jednak dzisiaj na pięknym świecie,
Kryje się różnych złodziejów tyle,
Którzy uchodzą z rąk nam bezkarnie.

Kiedy z stragana młode pachole
Bułeczkę porwie, chociażby z głodu,
To zaraz wszystkich to w oczy kole
I zaraz wszyscy krzyczą w zapale,
Że taki dzieciak kradnie za młodu
I dzieciak ginie, ot... w kryminale!...

Lecz kiedy bankier w fałszywym krachu
Tysiące ludzi odda rozpaczy,
O byt i przyszłość pogrąży w strachu,
Albo odrazu zniszczy z kretesem.
Ej... taka kradzież, to nic nie znaczy,
Bo ona zowie się... interesem!...

On także kradnie, lecz mądrze kradnie
I nikt mu tego nie powie w oczy,
Bo i po krachu rej wiedzie w tłumie.
Lecz niechże ma kto ten zmysł proroczy
I dając pieniądz niechaj odgadnie.
Że chociaż magnat, a kraść tak umie!...

— To zacny człowiek! mówią, pan hrabia!...
Ma dwór swój świetny, konie i cugi,
Karetę swoją w herb przyozdabia,
Kochanki swoje ubiera ładnie!
Ale nie wiedzą, że herb — to długi,
A pan — to złodziej, co drugich kradnie!

Szlachcic swą wioskę niby szanuje,
Hula i gdy już kres jego bliski
I gdy już czuje, że mienie pada,
Wioskę swą niemcom kolonizuje,
Ziemię ojczystą swoją okrada,
Aby możliwe osiągnąć zyski!...

Et, że tam niemiec jeden przybędzie,
Że ziemia ojców przepadnie marnie,
Czyż się tak ciągle u nas nie dzieje,
I czyż on pierwszy w łajdaków rzędzie?
Lecz tacy ludzie to są złodzieje,
Którzy uchodzą z rąk nam bezkarnie...

Młodzik pieniądze dostanie w schedzie;
Zaraz próżniaków tłum go otoczy,
Co się herbami i mitrą szczycą,
Schlebiając w oczy, — plując za oczy,
A on z łotrami przetracić jedzie,
Krwawy pot ojca po za granicą!

Gdy już bez grosza wraca do kraju,
Szuka posady z głodu... w potrzebie
Ot, konduktora choć przy tramwaju.
A tłum koleżków z niego się śmieje!...
Więc nie dość, że on sam okradł siebie,
Lecz mu pomogli inni złodzieje...

To powiedziałem tylko co czuję,
I to, co każdy pewno zrozumie,
Jeden więc wniosek z tego wysnuję
I zdanie swoje wypowiem snadnie:
Że nie ten złodziej dzisiaj co kradnie,
Ale ten właśnie... co kraść *nie umie!*

Paul de Coś.

d dawnego do nowego podatku, które JE. pan minister skarbu w swojej mowie za konieczne uznał.

Książki płatnicze wszystkich rolników w kraju udowadniają, że zapłacili nową powinność według nakazów płatniczych i a nieuścili, się według rzeczonej ustawy. Jeżeli więc rolnicy zapłacili według nakazów płatniczych na powinność podatkową corocznie to co według ustawy dopiero w 10. roku stopniowania (tj. 1892) do płacenia przypadało, a mianowicie:

w 1881	roku	9.264.300	złr.
1882	„	9.264.340	„
1883	„	9.264.340	„
1884	„	9.264.340	„

a byli obowiązani według stopniowanego przejścia jak w „Zestawieniu“ wykazane, uiścić się tak:

w 1881	roku	5.074.680	złr.
1882	„	5.074.680	„
1883	„	5.493 646	„
1884	„	5.912.612	„

więc z powyższych cyfr okazuje się, że:

zapłacili	37 057.360	złr.
powinni	21,555 618	„
nadpłacili	15,501.742	złr.

Jeżeli do nadpłaconych 15,501.742 złr. dodamy nadpłacone w r. 1885. półroczne 1,500.000 złr. to okazuje się, że rolnicy w Galicyi za 4½ lat zapłacili podatku gr. więcej jak się należało o 17,000 000 złr. Byłoby to nawet do prawdy niepodobne, gdyby nie było na dokumentach, ustawie i liczbie oparte. Gdyby tych 17,000 000 złr. było dziś w rękach rolników, to o kryzis rolnicsej nie byłoby mowy. Prawda, że stopniowe uiszczenie jest dobrodziejstwem, ale nie dla wszystkich powiatów i nie dla każdego posiadacza gruntu, a W. c. k. Rządowi wszystko jedno, czyli płacimy przez stopniowe przejście czyli w całości, ponieważ na 15 letni okres obecnego katastru, ani rolnicy więcej zapłacą, ani urzęda podatkowe więcej pobrać mogą. Prawda i to, że gdybyśmy podatek stopniowo płacili, toby nas kryzis nie w r. 1885 zaskoczyła, tylko przygotowalibyśmy się do tej kryzis, która dopiero po 1892 roku nastąpić mogła, tak samo jak reforma podatku na mocy ustawy z 24. Maja 1869. §. 41. dopiero po 1897 roku nastąpićby musiała. Jeżeli komitet obradujący chce rolników ratować, to niechaj skieruje w drodze legalnej uiszczenie się z podatku gr. na tory prawidłowe szczególnie w tych powiatach gdzie podatek 2, 3 i 4 razy jest większy, a co z naszem rolnictwem po 1892 roku się stanie, to należy do przyszłości, która nieprzedstawi się w tak rozpaczliwym stanie jak dziś w Galicyi, gdzie przez niespodziewany ubytek rolnikom tak kolosalnej sumy jak 17,000.000 złr. zjawiła się kryzis rolnicza a tem samem i upadek ekonomiczny.

Ambroży Chmielewski.

KORESPONDENCYE.

Aksmanice dn. 10. Stycznia 1886.

Ciekawe są zaiste rozmaite środki na nędzę rolnictwa, wskazywane w pismach naszych codziennych jak w *Kuryerze lwowsk.*, różnych tetryków i doktorów, z których widocznem jest tylko to, że wielkości klęski nie rozumieją i że można być Doktorem a nie znać pierwszych zasad tak poziomej nauki jak arytmetyka. I tak: w *Kuryerze lwowsk.* pan Dr. H. J., który musi być wysoko uczonym i znać się na matematycznych zadaniach bo o nich pisze, zdradza nieznajomość prostych bo nawet najprostszych zadań arytmetyki.

Wnioskuje bowiem, że jeżeli pszenica była po 10 zł., to ktoś co miał 10.000 dochodu, jeżeli ona spadła na 6 zł., będzie miał 6000, i to nazywa matematycznem zadaniem?

Szanowny Dr. musi być doktorem co najmniej praw lub medycyny, a niezawodnie semitą, chociaż z pochodzenia. A ponieważ ci panowie opływają we wszystko, myślą tedy, że i rolnikom pieczone gołąbki same wpadają do gąbki, jak to Drowi praw często się zdarza przy obronach w różnych sprawach i opiekach, a Drom medycyny przy chorobach różnych kapitalistów bogaczy. Ale u rolników tak nie jest, tu trzeba rzeczywiście w pocie czoła pracować, aby módz koniec z końcem związać. Dawno już minęły czasy dobre dla rolników i myli się Szanowny Dr. twierdząc, że jak się ma 1000 korcy pszenicy, to się miało po 10 zł. 10.000; to jest dochód brutto, od niego trzeba odjąć koszta uprawy, gnoju, zasiewu, żniwa, sprzętu, młocki, odstawy, a te małe drobnostki niedostrzeżone przez p. Dra, kosztują w Przemyskiem 6200 zł., a ponieważ podatki i dodatki najskromniej liczone bez egzekucyi i sekwestracyi wynoszą od morga 5 zł. 40 ct., który produkować powinien 8 korcy a tego roku nie produkuje, więc na 1000 korcy potrzeba morgów 125 z których podatek po 5 zł. 40 ct. wyniesie 675 zł., dodawszy do kosztów produkcyi — wydatki wyniosą 6.875 zł. Czyli, że jeżeli pszenica jest po 10 zł., zysk z tych 10.000 zł. za pszenicę będzie tylko 3125 zł. Jeżeli zaś pszenica spadnie na 6 zł. to dochód wprawdzie brutto będzie 6000, ale wydatki zostaną te same to jest 6.875 zł. i pokaże się z tego zadania arytmetycznego, że nietylko dochodu nie będzie, ale braknie 875 zł. Jeżeli pszenica zaś spadnie na 4 zł., to dochód brutto będzie wprawdzie 4000 zł., a wydatki z podatkami zawsze 6.875 zł., czyli, że temu co sprzedając pszenicę po 10 złr. — miał zysku 3.125 złr., braknie bagatelki 2.875 zł., to nie jest pewnik wysokiej matematyki, jaką uprawia Szanowny Dr., ale niczem nie zbity pewnik arytmetyczny.

Słyszę jak Szanowny Dr. powie, poco siać pszenicę? Otóż my rolnicy powiedzieliśmy to sobie przed poczęciem myśli Szanownego Dra i zasadziliśmy chmiele, buraki, lny i utrzymujemy bydło staranniej itd. Otóż faktem jest, iż w Przemyskiem leży gotowego chmielu parę tysięcy cetnarów, których produkcya, to jest robotnik, kosztuje na cetnar 21 zł. a dają za niego 5 zł., szczęśliwszym 10 zł. — a to, bo piwa nawet ¼ się nie rozchodzi, bo ludzie się oszczędzają. Mleko które jeszcze w przeszłym roku rozrywane było w Grudniu, zupełnie się prawie nie sprzedaje, chociaż jest znacznie tańsze. Ci co się wzięli do buraków i lnu, giną z nędzy i mówić nawet o nich niechcą.

Cóż tu mówić o oszczędnościach, jakie nam Szanowny Dr. radzisz, a gdzie ich niema a nawet są takie wielkie niedobory — po co wspominać o koniach lejcowych, o wierzchowcach, które już tylko egzystują w wyobraźni Szanownego Dra, kiedy tu mowy być nie może o koniach kieratowych, tu nie pomoże chodzić w łapciach, ba, nawet boso. Tu nie ma mowy czy są długi? — tu nie mając centa długu, bankrutować się musi, na to żadnego wpływu nie może mieć cena ziemi. — Otóż kochany semito, co pamiętasz pewno jak tato przyszedł do fortuny, a wierzaj mi, nie przyszedł on do niej na oszczędnościach, ale na lichwie ściąganej z chłopów i panów w czasie błogosławionym dla Was, wolności lichwy, a dla klas ciężko pracujących zgubnym. Dał ci tato możność liznięcia nauk i zostania co najmniej pokątnym doradcą albo dziennikarzem, to jeszcze nie dowód, abyś rozumiał sprawy rolnictwa i natrząsał się nad upadkiem tych co sumiennie około niego chodzą.

Otóż kochany panie w o l n e ś ć l i c h w y i n a d m i e r n e o p o d a t k o w a n i e doprowadziły do położenia bez wyjścia rolnictwo. Dlatego też W i e c e p r z e m y s k i i l w o w s k i, n i e ż ą d a ł y ł a s k i, a n i m y j e j s o b i e n i e ż y c z y m y, a l e s p r a w i e d l i w o ś c i i l i t y l k o s p r a w i e d l i w o ś c i, i to mojem zdaniem w homeopatycznych i niewystarczających dozach.

Żądamy przekonania się, że nie kamerdynery, wojaże i życie nad stan, są powodem niemożności dalszej pracy na ziemi, ale w o l n o ś ć l i c h w y d ł u g i c z a s p r a k t y k o w a n a! a l e n a d m i e r n e p o d a t k i! ale egzekucye i sekwestracye illuzoryczne!

Niechcę ja twierdzić, że u nas niema marnotrawców. — Oj są i dużo ich!! ale gdyby tylko życie nad stan było powodem klęski, to tylko ci co się tego dopuszczają, byliby w nędzy i toby było słuszną na nich karą. Wielu nas jednak oddawna się oszczędza, wielu nigdy nie dopuszczało się zbytków, a łatwo się przekonać, że wszyscy wyjść na swoje nie możemy. A jeżeli Szanowny Drze chcesz kalać koniecznie własne gniazdo, to popatrz, że rolnictwo upada również we Włoszech, w pracowitej Francyi, w oszczędnej i przemyślnej Anglji, chociaż kraje te mają fabryki rozwinięte i znajdując konsumenta u siebie, droższe osiągają ceny — przeczytaj ile już w ostatnich czasach w tych krajach pól i folwarków leży odłogiem.

Chłopi zagranicę nie jeżdżą, drogich rzeczy nie spożywają, mięsa jak raz do roku więcej nie jedzą, piją tylko wódkę, której litra tego roku kosztuje 11 centów, którzy sami obrabiają swoje małe kawałki, a pomimo to są wszyscy zadłużeni w Bankach włościańskim, krakowskim, ruskim, Towarzystwach zaliczkowych, kasach gminnych i u żydów. W gminie Aksmanice na 70 numerów 38 gospodarzy 12. Stycznia będą mieli ruchomości fantowane i sprzedane za podatki z roku 1884. — Czy to także z rozkoszy? — Nie panie Doktorze, to przeciążenie podatkami państwowymi, autonomicznymi, egzekucyami, sekwestracyami, opłatami przenośnemi, notaryalnemi, adwokackiemi, wojtowsko-pisarskiemi, składkami na zabudowania kościelne, cerkiewne, parafialne, szkolne — powinnościami szarwarkowemi, przymusu szkolnego, obowiązkiem służenia wojskowo!

Prawdziwie dziwić się tylko można, jak rolnictwo mogło tak długo utrzymywać się. A utrzymywało ono się nie z dochodów, ale czerpaniem z kapitału drogo dostarczonego mu przez różne Banki o wysokich procentach i przez prywatnych lichwiarzy.

Dawno ja panie Drze jadałem pod „słowikami“, wtedy jeszcze kiedy dawano uczty po 10 zł. dla p. Ministra rodaka. Nikt nigdy nie widział mnie zbytkującego; pracuję sumiennie w roli, oszczędzam się aż do skąpstwa, a czy mogę związać koniec z końcem? Mogę zaręczyć wszystkim pp. Drom, że od 16 lat jak jestem w Galicyi, trzy tylko lata związałem koniec z końcem bez zaczerpnięcia z kapitału.

Położenie rolnictwa jest tak okropne, że śmiało twierdzę, że gdyby Rząd wszystkie podatki zniósł co być nie może, skasował nawet autonomię, to jeszcze nie wiele by rolnictwu pomogło.

Rolnictwo potrzebuje doraźnej pomocy i to milionów, aby zamienić długi rolnictwa zapożyczone na 6 do 8 prc. na 2 a co najwyżej na 3 prc.. To Rząd może zrobić i powinien a to tem więcej, że w czasie krachu giełdy, Rząd zrobił to dla kapitalistów kosztem pomocy 75 milionów. O ileż więc więcej rolnictwo zasługuje na opiekę Rządu, skoro ono jest głównie podatkującem — a może to Rząd zrobić bez zmniejszenia podatków, owszem przymnażając sobie miliony dochodu.

Bez tej pomocy bardzo w krótkim czasie egzekucye i sekwestracye staną się rzeczywiście illuzorycznemi dla skarbu, bo nie będzie co zabierać, a pola leżeć będą odłogiem. Bądź co bądź, wiadomo jest, że tak w Galicyi jak i całem państwie dobra są obdłużone do połowy dzisiejszej wartości, więc właściciele są posiadaczami tylko połowy majątku a podatki płacą od całości. Kapitaliści zaś nie płacą podatków, a procenta od ich połowy muszą być pokrywane procentami od kapitału właściciela, który tym sposobem pracuje na nich i na podatki za darmo.

Taki stan nie może już długo trwać, ludzie opuszczą pracę bezużyteczną i tytuł który im dochodu przynosić nie będzie, a kapitały nie mając oparcia i nieotrzymując procentów, muszą także stracić na wartości.

To co nam dziś, to Wam jutro panowie semici i niesemici Doktorzy! Niebałamućcie głów starych doświadczonych gospodarzy! — Nie bałamućcie Rządu że złe nie jest tak straszne, że jest przechodowe i że go można oszczędnościami pokonać.

Nie panowie! złe jest tak doniosłem, a przy konkurencyi produkcyi zamorskiej tak trwałem, że mu ani wysilenia pojedynczych jednostek, ani wspólne wszystkich rolników podołać nie zdołają przy tem opodatkowaniu ziemi jaki jest obecnie.

Kapitał oprocentowany wyżej lub niżej musi skończyć swoje panowanie nad pracą i własnością, a pieniądz papierowy oprzeć się może tylko na złocie lub srebrze, których wartość jest mniej więcej urojoną ale na ziemi i własności, a procent być tylko takim aby nieciemiężył pracy, ale był mu pomocą. Nieobejdzie się bez walki kapitalistów z chcącymi pracować, ale musi zwyciężyć prawda i wstąpić muszą Rządy na drogę obrony uczciwych pracowników, od wyzyskujących, nic nie robiących kapitalistów.

Nam trzeba pomocy w rodzaju jak ją pan Fleury w Izbie francuskiej przedłożył a jak ją w innych czasach i okolicznościach w roku 1862 nasz ziomek Góral z Kiczery w celu ratowania rolnictwa od panującej wówczas lichwy, a państwo od rosnących długów w broszurze „kwestya finansowa“ wypowiedział.

P. Fleury deputowany de l'Orne w Izbie francuskiej przedłożył projekt wypuszczenia emissyi banknotów opartych na ¼ wartości dóbr, a jak w naszym kraju należałoby do wysokości Towarzystwa kredytowego na tych samych zasadach, jak Państwo wypuszcza banknoty na podstawie sztab złota i srebra. P. Fleury dowiódł, że oparcie jest pewniejszem na ziemi, która gdyby nawet niebyła uprawianą to jeszcze da pastwisko, kiedy wartość złota jest bądź co bądź sztuczną. Że ziemi ukraść ani w razach przewrotów społecznych zrabować nie można tak aby ona żadnej już wartości nie przedstawiała, kiedy piwnice banku w takim razie mogą być opróżnione. Chce on aby Rząd gwarantował kurs banknotów, jak gwarantuje kurs dzisiejszego, swymi dochodami i aby za tę gwarancyę pobierał 2½ procent w formie podatku od dającego w zastaw swoją ziemię.

Że oparcie banknotu na ziemi jest najpewniejsze, to niepodlega wątpliwości, bo przecież listy zastawne mają pokup al pari, a często nawet wyższą i są poszukiwane przez tych, ktorzy chcą mieć kapitały w walorach pewnych. Chodzi tu tylko o zamianę pożyczki właściciela z 6%. na pożyczkę 2½, dowodzi bowiem p. Fleury, że rolnictwo w dzisiejszych czasach znieść 6% i wyższego nie może i że jeżeli Rząd tego nie zrobi, to całe rolnictwo upaść musi, a tem samem upaść muszą podatki z rolnictwa przez Państwo pobierane, a ci co wywłaszczeni zostaną z własności, powiększą ilość malkontentów i socyalistów. Powiada p. Fleury, że przyjęciem jego projektu podniesie się rolnictwo, utrwali dobrobyt, a 2½ procent za dogodność uruchomienia części majątku nieruchomego, nowe miliony przysporzy dochodu Państwu. Popiera on to twierdzenie tem, że to rzecz nie nowa; że w czasie rewolucyi francuskiej banknoty takie egzystowały i miały nadany kurs prawem z 9 Mesidora roku III. tak zwanego cedułą hipoteczną, które miały kurs, choć wypuszczone były przez właścicieli bez wpływu początkowo rządu i były imienne.

Można niepodzielać sposóbów przeprowadzenia wskazanych przez deputowanego Fleury, z których wiele dla naszego państwa byłyby niepotrzebne i utrudzające, bo mamy gotowe szacunki Towarzystwa kredytowego, które wiadomo nam, są bardzo sumienne i raczej za niskie jak za wysokie. Ale niepodlega wątpliwości, że tylko wypuszczeniem wielkiej ilości banknotów przez rząd, na podstawie jakiejś części wartości ziemi mógłby Rząd zaradzić kryzis rolnictwa, która bądź co bądź, zatrzęsie wszystkiemi podstawami własności i sprowadzi ruinę wszelkich przedsiębiorstw z rolnictwem związanych jak handlu, a nawet kapitaliści oparci na kołach zastawnych lub na akcyach przedsiębiorstw z rolnictwem styczność mających ucierpieć znacznie muszą. Kto chce bliżej się objaśnić ze szczegółami tej interesującej broszury niech ją sobie kupi pod tytułem: *Solutron de la orise Agricole par la mobilisation partielle de la propriete fonciére par Fleury 1884.*

Nic dziwnego, że projekt tak racyonalny i tak na czasie postawiony, nie został uchwalony dotąd przez Izbę francuzką, w której większość stanowią bogacze, jak Rotszyld i zwolennicy dzisiejszego systemu banknotu, opartego na tem co oni posiadają, to jest na złocie.

Niezaprzeczenie ważna to zmiana w systemie pieniężnym, i każdy przyzna, że projekt ten jest zamachem na próżnujących, używających i odcinających kupony od listów zastawnych i akcyj kapitalistów, na których inni pracują. — Ci kapitaliści panują nie tylko nad klasami pracującymi i ich niszczą, ale nawet ciężą również procentami od rat nad rządami, które muszą się z nimi rachować przy wzrastających co raz bardziej wydatkach państwowych.

Uchwała tak doniosłej zmiany upokorzyłaby kapitał i wskazała mu właściwe miejsce nie panowania, ale służenia pracującej społeczności ludzkiej. Wyrwałaby z rąk przewódcom kapitału główny motor, a oddała go w ręce Rządu i pracujących i procent musiałby spaść do rozmiarów, jakich powinien był nigdy nie przekraczać.

Może być, że rządy wahać się będą jeszcze czas jakiś ale niedługo — inaczej zbankrutuje rolnictwo, handel, przemysł, a z nimi razem i kapitały, których nie będzie komu pożyczać.

Mojem zdaniem źle wiec zrobił, że żądanie swoje postawił nie jasno, że żądał ulg i to tak delikatnie, że rząd może myśleć, że to co się żąda nie jest koniecznem. Bo kraj co kocha tak jak nasz, Najjaśniejszego Pana, to wysyłając deputacyę winien Cesarzowi jak dzieci kochające ojca z całą szczerością i jasno przedstawić straszne położenie nie tylko już rolnictwa, ale całego przemysłu i handlu. Bo tylko w takim razie, Najjaśniejszy Pan może ocenić ważność upadku tego rolnictwa — z dobroci ojcowskiej zechce ratować tych, co mają całe zaufanie w Jego najwyższej łasce.

Panie Dr. H. J. nie pisz pan nigdy tego, czego nie rozumiesz, a unikniesz niezawodnie napisania wielu niedorzeczności. — Patrzysz pan z za zielonego stolika i zdaje ci się wszystko zielone. Patrzysz pan ze Lwowa gdzie zebrała się nędza moralna i materyalna złocona, która błyszczy jeszcze ostatkiem pożyczanych pieniędzy, których wie, że nigdy nie odda. Wystarcza panu na uczty po 10 złr., które zjadasz pan co kilka dni i nie wiesz nawet, że twoi bracia żydki po prowincyi są zupełnie tak biedni jak rolnictwo, że co chwila grozi im ostatnie bankructwo i żywot swój przedłużają tylko dla tego, że tak banki jak i inni ich wierzyciele, gdyby chcieli żądać od nich co są winni to i samiby runęli — Wierzaj mi pan, że jeżeli pszenica spadnie na 4 złr. to nawet oszczędności posunięte do główki cebuli lub czosnku staną się nieuchwytnym zbytkiem. Runąć mogą nietylko fortuny takie jak szanownego taty pańskiego, nietylko banki o wysokich procentach, ale nawet Towarzystwo kredytowe runie.

A. Krukowiecki.

Kronika krakowska.

13. Stycznia 1886.

Kraków nasz uśpiony, jakby w ogórkowym sezonie. Nie ma ani wyborów, ani kłótni z prezydentem, — klika więc stańczykowska nie ma sposobności do zdzierania afiszów i wyprawiania szynkowych skandali w sali rady miejskiej. Taki brak skandalicznego materyału gotów ją umorzyć.

Rzeczony brak materyału odjął znakómitościom stańczykowskim humor i dowcip do tego stopnia, że organ ich konserwatywno-humorystyczny *Bicz*, przestaje — jak wiem z dobrego źródła — wychodzić.

Czy znacie to pisemko? Bardzo być może że nie; lwowianie są ludźmi zanadto rozumnymi, aby prenumerować tę intellektualną i moralną nędzotę. Koncepty *Bicza* — czytane aż do znudzenia w niemieckich i francuskich pismach, tłuste dowcipy, które można szeptać do ucha p i ę k n y m p a n n o m w domu publicznym, lecz wara dać je do czytania w polskim domu żonie lub córce, — nad wszelki wyraz nędzne rysunki — składają się na ten konserwatywny rynsztok, noszący w nagłówku wiersz zacnego i genialnego wieszcza Zygmunta.

W dniu 1. Styeznia ogłosił *Bicz* w nagłówku, że będzie odtąd tylko raz na dwa tygodnie w bucie palcem kiwać postępowi i patryotyzmowi. Obecnie przestanie wychodzić, czem robi przysługę logice i zdrowemu sensowi. Mój Boże! Cóż wobec tego pocznie durny Faustynek, czcigodny akuszer i p. Czerwonka, którzy dowcipy swe tam drukowali! — Każda jednak rzecz ma odwrotną stronę medalu. Zgon *Bicza* spowoduje utratę chleba p. M., studenta z trzeciej klasy, który zasiadał w redakcyi tego pisma, poprawiając licznie figurujące błędy ortograficzne w utworach akuszera i pewnego młodego literata, na którego utrzymanie łożyła panna młoda i zdrowa córka Ewy.

Wobec straszliwej ekonomicznej nędzy w kraju, wobec klęsk, z jakiemi walkę ciągle społeczeństwo toczyć musi, Kraków nasz „poważny“ śmieje się za wiele. Na gruzach bowiem *Bicza* wyrastają jak grzyby po deszczu aż dwa pisma humorystyczne: *Smieszek*, który wydawać zamierza p. Kohn i którego prospekt wydrukował na lichym papierze w Wieliczce i *Ananas*, który — jak mię informują — wychodzić będzie jako dwutygodnik pod redakcyą p. K. Bartoszewicza.

O ile w kołach politycznych nie „robią“ polityki i na razie cisza panuje, o tyle w innych sferach wre życie i kipi. Najważniejszym na dziś faktem jest rewolucya, jaką padnieśli artyści nasi przeciw towarzystwom przyjaciół sztuk pięknych. Jestem szczęśliwy, że mogę podać *Straznicy* kilka o tem szczegółów i informacyj, których żadne dotąd pismo krajowe nie miało.

Dotąd były nasze wystawy i ich dyrekcye przedmiotem uwielbienia ze strony dziennikarstwa; zewsząd słyszano entuzyastyczne okrzyki: co to zrobiły dla sztuki towarzystwa, — a nikt nie wglądał za kulisy. Opozycya, którą zawsze stanowili artyści tędzy w pędzlu, mniej w piórze, kipiała i wrzała; nie było jednak ani jednego dziennikarskiego telefonu, któryby społeczeństwu donióśł, co za niewłaściwości dzieją się wewnątrz. Nawet wtedy, gdy mistrz Matejko dwa kroć razy usunął się, nie mogąc patrzeć na to co się dzieje, nawet wtedy milczano i nie wglądano. Ale tak długo dzban wodę nosił, dopóki.. nie napisano ostatniego statutu...

Za mało mam miejsca, aby statut inkryminowany poddać krytyce; przeczytajcie go sami... Straszliwy ten dziwoląg, szafujący krwawą pracą artystów według zachcenia dyrekcyi d o ż y w o t n i e j, bo kreowanej przez samą siebie, poruszył i podrażnił do głębi wszystkich.

Zebrało się zgromadzenie wszystkich — literalnie wszystkich krakowskich artystów. Ku ogólnej pociesze odczytano statut, napisany przez znakomitego... prawnika? — nie — akuszera dr. Jordana. Artyści porozumieli się i powiedzieli to, co im dawno leżało na sercu. Dyrekcya w ogromnej swej większości składa się z ludzi, którzy nic dla sztuki nie robiąc, reklamują się po *Czasie* jako mecenasi, udają protektorów, wtedy, gdy zgodzą się na pożyczkę artyście, z jego własnych, ciężko przez niego zapracowanych pieniędzy.

Pastanowiono bądź co bądź usunąć z dyrekcyi i administracyi kilka indywiduów i wziąć w ręce administracyę i dyrekcyę wystawy. W tym celu zapisali się wszyscy artyści do towarzystwa bratniej pomocy artystów, gdzie skonsolidowani zarządzają rewizyę i zmianę statutu, Jest to projekt Matejki. Dyrekcya i jury będzie obieralną przez artystów. Jeżeli projektów tych dyrekcya nie uwzględni, wszyscy artyści pod wodzą Matejki wycofają obrazy i otworzą w Krakowie osobną, na wzór salonu paryskiego i wiedeńskiego. Są to postanowienia stanowcze i niecofnięte.

Jako bezstronni możemy przyklasnąć tylko przedsięwzięciu i „strejkowi“, mającemu na celu położenie tamy wyzyskiwaniu cennej artystycznej pracy dla celów często bardzo ubocznych i prywatnych... Nie rzucamy ostatnim wyrazem pustego frazesu z jednej, ale nie chcemy także z drugiej strony wywlekać rzeczy, które dziać się nie powinny w świątyni sztuki.

Żalić się i ciągle żalić jest losem krakowskiego korespondenta.

Aleźbo głusi już słyszą, co wyprawiają ludzie tacy, którzy stać powinni na straży moralności i opinii. Jeżeli gdzie, to w zawodzie nauczycielskim trzeba pilnować czystej szaty sumienia i duszy, bo się jest przykładem swym odpowiedzialnym za wychowanie całych pokoleń. A nie zawsze tak się dzieje. Obecnie dochodzą mię głośne skargi na pewne indywiduum, którego oburzające postępowanie przechodzi wszelką miarę. Mowa tu o pewnym profesorze bocheńskiego gimnazyum, kompromitującym zakład, kolegów, zawód nauczycielski i charakter c. k. urzędnika państwowego. Narzekanie mieszkańców Bochni jest ogólne i obijało się już kilkakroć o uszy Rady szkolnej, którą to dotąd nie wzruszyło. Chodzi tu o brudy, o nadużycie opieki nad sierotami, o oszustwo dokonane sprzedażą starego fortepianu za 300 złr., o zaoranie cudzej miedzy (przepraszam; za to dostał już wiadomy obywatel kołkiem po fizyognomii), o oszczerstwa, o denuncyonowanie kolegów, o kłócenie dzieci z rodzicami, o pobieranie od rodziców kształcących dzieci towarów na kredyt i odmawianie zapłaty połączone z groźbą, o nauczanie dzieci denuncyacyi i szpiegostwa, jednem słowem o wszystkie możliwe s z k l a r s t w a. Pan ten ma ni mniej ni więcej, tylko 15 procesów w Sądzie.

Prześwietna Rado szkolna! raczże łaskawie Bochnię uwolnić, bo wkrótce cała Bochnia albo będzie skarzyć, albo będzie oskarzoną w Sądzie. Rado — zlituj się, przenieś go gdzie pieprz rośnie, niech nas już szklić przestanie. Amen.

Nielojalny.

Ankieta naftowa.

(Pomoc własna).

W ostatnim zeszycie wiedeńskiej *Chem. Techn. Ztg.*“ poświęca p. Arthur cały wstępny artykuł sprawie, która wywołała tyle wrzawy w świecie naftowym i była powodem zwołania obradujęcej właśnie ankiety naftowej — do Wiednia. Po raz pierwszy spotykamy się w piśmie niemieckiem z myślami tak konsekwentnie przeprowadzonemi a tak dosadnie wyrażonemi ku obronie naszego przemysłu naftowego.

Oto co pisze:

„Od dłuższego już czasu galicyjskie towarzystwo naftowe zajmowało się zebraniem poważnych dowodów, że w granice monarchii Austro-węgierskiej wprowadzane bywają zarówno z Rosyi jako też z Ameryki, zafałszowane destylaty jako surowiec. Towarzystwo wspomnione nie szczędziło zabiegów i kosztów, aby się w samychże miejscach, skąd towar ten jest wyprowadzany, przez osobnych delegatów swoich przekonać o fabrykacyi tego tak zwanego „austryackiego petroleju“, a odnośny nader obfity materyał, towarzystwo to przedłożyło rządowi do rozporządzenia.

Każdy kto chce widzieć i słyszeć, wie dobrze, że dzięki inicyatywie kilku przemysłowych i handlowych szalbierzy, od czasu zaprowadzenia podatku od nafty, zakradła się do tej gałęzi przemysłu w naszej monarchii bezprawna korupcya, która przeszła wszelkie nadużycia, praktykowane w Ameryce.

Czasopismo *Chemiker und Techniker Zeitung*, wyraziwszy w samą porę opinię, że na bezkarnej tej praktyce nietylko skarb państwa i publiczność ponosi dotkliwą szkodę, ale i krajowy przemysł naftowy skutkiem niej zagrożony jest w swojej egzystencyi, od pierwszej chwili i niejednokrotnie uderzało w dzwon trwogi i w sposób jak najbardziej wyczerpujący i oczywisty dowiodło, że importowana ropa surowa oddawna jest równie nieudatnym jak bezczelnym falsyfikatem.

A cóż od owej chwili zarządzono w tej piekącej sprawie? Rząd domagał się, aby dostarczyć mu instrumentu, za pomocą którego każdy laik nawet mógłby natychmiast poznać, że surowiec jest falsyfikatem. Jest to żądanie co najmniej osobliwe, o którem na razie nie chcemy rozwodzić się obszerniej, byłoby jednak dla rządu rzeczą nierównie prostszą, przed wynalezieniem owego instrumentu poinformować się za pośrednictwem zawodowego męża zaufania w miejscach skąd ów towar bywa pociąganym, o f a b r y k a c y i przeznaczonego dla Austryi surowca, jeżeli już nie chciał polegać na opinii odnośnych delegatów towarzystwa naftowego, mimo iż pomiędzy nimi znajdował się nawet urzędnik państwowy.

Tymczasem wszelako, jak się zdaje, i towarzystwo naftowe nabyło przeświadczenia, iż mimo rozpisanej przezeń nagrody wspomniony delficki instrument czarodziejski zapewne nie dość rychło będzie wynaleziony i że do czasu jego wynalezienia, galicyjski przemysł naftowy uledzby musiał zupełnej zagładzie, dla tego wnosiło ono petycyę za petycyą, aż nareszcie rząd zdecydował się zwołać obradującą właśnie ankietę.

Dzienniki, a mianowicie nieliczne owe organa, które nie powodują się stronniczością, podały krótkie zapiski, z których poznaliśmy członków rzeczonej ankiety. Braknie pomiędzy nimi przedewszystkiem radcy górniczego p. Paul, który, jak to całemu światu wiadomo, zna rosyjskie kopalnie nafty z oględzin, osobiście dokonanych, i którego poglądów rząd w pierwszym rzędzie powinien był wysłuchać. Wiemy tylko, że radca górniczy p. Paul był w Rosyi — nie wiemy, jakie jest jego zdanie o owym szalbierczym imporcie, — ale bądź co bądź, powtarzamy, że zawodowy ten, równie jak poważny świadek, powinien był być

przesłuchanym. Rzeczą jest też godną ubolewania, że tak małą liczbę delegatów powołano z Galicyi, a jeżeli nawet uznajemy, że delegaci ci należą do najwybitniejszych producentów nafty w Galicyi, to wszakże musimy z góry oświadczyć, iż we wspomnionej ankiecie bylibyśmy radzi widzieć także takich obywateli galicyjskich, którzyby należytą a bezwzględną dali odprawę kilku zasiadającym w ankiecie panom wiedeńskim, zbijając ich po części niedowarzone, a po części nierozumne twierdzenia i którzyby wskazali tym barankującym ichmościom stanowisko prawne w tej sprawie. — Ankieta, mianowicie część jej niefachowa, byłaby w takim razie mogła lepiej ocenić ze swej także strony owe niedające się skwalifikować opinie techników wiedeńskich i ich przewódcy — i byłaby poznała, dlaczego ci panowie tak żywo tem się interesują, aby szalbierstwo z surowcem istniało i nadal, oni jedni bowiem tylko przeczyli faktowi tego szalbierstwa.

Wielkie dzienniki polityczne, organa stronnictw, za jakie się wydają same, całe zbawienie ludów Austryi widzą tylko w kwestyi narodowościowej, której wszelkie inne interesa winne być podporządkowane; dlatego też w najlepsze milczą o ankiecie.

Tak samo rzecz się ma także z naszym parlamentem: żaden z przewódców którego kolwiek stronnictwa — żaden z owych licznych trybunów, uszczęśliwiających ludy i krasomowców, których tak wielu przecież tam zasiada, nie podniósł tej piekącej sprawy na porządek dzienny, ani nie interpelował co do niej rządu; — żaden z nich nie skarcił surowo tego szalbierstwa petrolejowego, które tyle szkody wyrządza państwu i przemysłowi naftowemu: — wszak to sprawa lubo wielkiej doniosłości i żywotności, ale tylko — ekonomiczna!

Co prawda, nie jest dla rządu austryackiego łatwem w tej sprawie należyte zabezpieczenie interesów państwowych tudzież interesów galicyjskiego przemysłu naftowego, a nadto także ze strony Węgier nie można się spodziewać, przez wzgląd na Rjekę, postępowania w duchu tych interesów.

Na domiar, obrady ankiety są tajne, co ze stanowiska prawnego, jakoteż naukowego, godnem jest ubolewania; — ponieważ jednak Asmodeusz obecnym był za nas w sali obrad, przeto zdradzić możemy niektóre szczegóły naszym czytelnikom, szczegóły o których nie wiedziały nieliczne dzienniki co wspomniały o ankiecie.

Delegaci z Galicyi czynili rzetelne zabiegi, aby należycie wykazać szalbierstwo rosyjskie i amerykańskie i w ogólności bronili energicznie interesów przemysłu naftowego i skarbu.

Natomiast wezwany do udziału w obradach ankiety fabrykant wiedeński chciał twierdzić, że surowiec rosyjski, przez niego także wprowadzany, jest tylko kompozycyą, złożoną z dwóch gatunków ropy, ktora w tem pomieszaniu daje znaną wielką ilość olejów świetlnych. Zapytany, w jaki też sposób benzyna oraz oleje pośrednie i ciężkie, mogą się przy destylacyi tej kompozycyi zamienić w oleje świetlne, oświadczył ten pan, który już od lat przeszło 25 posiada wielką rafineryę petroleju, — iż bliższych wyjaśnień w tej mierze podać nie może i zaproponował, ażeby do ankiety powołano także jego dyrektora, tudzież dyrektora innej jeszcze fabryki wiedeńskiej — co się też stało.

Otóż teraz słuchajcie i zdumiewajcie się! Dyrygujący chemik dziesiątej dzielnicy Wiednia, twierdził oczywiście, podobnie jak jego szef, że wprowadzany z Rosyi tak zwany surowiec, składa się: 1) z ropy nader wysokostopniowej, wiele benzyny zawierającej i 2) z niskostopniowej, ciężkiej ropy — które w odpowiednim stosunku procentowym są z sobą pomięszane. Większa część zawartej w 1) benzyny rozpuszcza ciężkie surowce w 2) przymięszane; inna część benzyny ulatnia się podczas transportu — i w taki to sposób następnie, według pojęć tego komicznego raczej aniżeli chemicznego dyrektora fabryki, zatrzymana w ciężkim oleju benzyna, która nie mogła się przez drogę ulotnić, przechodzi przy późniejszej destylacyi w jego fabryce w o l e j e ś w i e t l n e! Któż się tu śmieje? — Ach to tylko tysiące robotników rafineryj petroleju, zakładów ekstrakcyjnych i t. d. i t. d.

Wytłómaczenie to było zanadto komicznem, gdyby ze względu na zebranie, któremu zostało przedstawionem, nie było zbyt niedowarzonem, — a jakże zdumieje się zagranica, że w Austryi zbywać można ludzi takiemi bredniami. Jeżeli już szef duże sobie pozwolił twierdzeniem, iż wprowadzany przezeń surowiec nie jest falsyfikatem, to jego chemik prześcignął go jeszcze. Szef tego osobliwego chemika nadmienił także, że dlatego sprowadza towar z Rosyi, ponieważ z Galicyi nie dostarczają mu j e d n a k o w e g o surowca i ze względu na inne różnice u producentów galicyjskich. — O ile jednak my znamy stosunki, to ankieta nie dla tego została powołaną, aby zarządzić środki na dostarczania temu panu jednakowego surowca z Galicyi, co zresztą jest prawie niemożliwem, gdyż tam surowiec nie fabrykuje się dopiero, jak w Rosyi albo w Ameryce dla pewnych austryacko-węgierskich rafineryj.

Inny dyrektor fabryki mówił w ogólności tylko o swojem roztargnieniu i c 2 złr., tak że ani ankieta, ani Asmodeusz nie dowiedzieli się, co właściwie pan ten chciał powiedzieć, a przypuszczać się godzi, że i on sam tego nie wiedział.

Z dotychczasowego przebiegu ankiety sądząc, mało mamy nadziei, ażeby informacyjne te obrady dały rządowi podstawę do zarządzenia odpowiednich środków celem stanowczego położenia tamy szalbierstwu.

Pomódz tu może jedynie energiczne wystąpienie deputowanych do Rady państwa, na którem oprzećby się mógł rząd przy naprawie ustawy naftowej, powszechnie za złą uznanej.

Czyżby nie mieli się znaleść ekonomiczni Ateńczycy, którzyby nas uleczyli z raka, który toczy skarb państwa, przemysł i konsumującą publiczność? — Dotychczasowa ustawa naftowa sprowadziła same klęski i posłużyła tylko do wzbogacenia niektórych nieczystych przedsiębiorców, oraz kilku kapitalistów, którzy zawsze wychodzą na pewny zysk nic w tym przemyśle nie ryzykując.

Musimy mieć ustawę naftową, któraby uniemożliwiła szalbierstwo — inaczej cały galicyjski przemysł naftowy zostanie zduszony! — setki rodzin wyzyskane zostaną z mienia i środków egzystencyi! — tysiące ludzi zostaną żebrakami! — wiele, wiele milionów będzie straconych, a wszystka konsumująca ludność zostanie poszkodowaną! A wszystko to dla tego kółka, dla kliki importerów falsyfikatu.

Przedewszystkiem oczekiwać należy, że deputowani galicyjskich okręgów naftowych nareszcie z wszelkim naciskiem zaznaczą swoje stanowisko w tej sprawie — a najwyższy już zaprawdę czas po temu!"

Nasi nafciarze.

Gdy bieda z nędzą postępują w zwartych szeregach dla aneksyi Galicyi pod swe panowanie, a wszystkie nasze siły i potęgi ekonomiczne tracą nawet zmysł zachowawczy, świecąc jedynie swoją bezradnością i brakiem silnej woli, stoi jeszcze tylko jedna gromadka, sformowawszy nieustraszony czworobok, pracując myślą zdrową, nie opuszczając rąk, aby doprowadzić byt kraju do równowagi i dać mu możność do otrząśnienia się z doli, jaka go gniecie.

Skarby, jakie Bóg zawarł w łonie naszej ziemi, a skarby olbrzymie, nie fantazyjne, ale rzeczywiste, wiemy jak przeszło przez ćwierć wieku były marnowane, chociaż zmarnotrawiono na tychże wydobywanie miliony. Jednostki trzeźwiejsze ze zrozumieniem pracy prawidłowej, uczciwej dowiodły wprawdzie, jaka mogłaby być przyszłość dla bytu Galicyi, gdyby uczciwie tę pracę pojmowano. Ale niestety, poza temi jednostkami widzimy tylko legię rozkiełzanych namiętności ludzkich i bez iskierki poczucia szlachetniejszego w duszach; a na czele tej wstrętnej falangi stanęło „p i e k ł o B o r y s ł a w s k i e“, ziejące ohydą, upadkiem moralnym człowieczeństwa, opartym na rabunkowej gospodarce, i zaprzepaszczające trzeźniejszość i przyszłość. Zdawało się naturalnie, że kopalnie naftowe zaprzepaszczone są przynajmniej dla obecnego pokolenia. Stało się jednak inaczej:

Oto tam u stóp Czarnohory wyrosła jakby z pod ziemi gromadka dzielnych pracowników, niezamożnych w zasoby pieniężne, ale kipiących ideą silnej woli odrodzenia naszej przyszłości. I zaledwie kilka lat upłynęło, gdy tam przybył skromny i cichy młodzieniec, ale wychowany w twardej szkole obowiązków pracownika Polaka, — Stanisław S z c z e p a n o w s k i, a chociaż potomek szlachetnego rodu, nie wahał się czepić twardej mozolnej pracy. Jedynym jego zasobem i kapitałem była sumienna i obszerna wiedza, jaką umiał zdobyć tak rychło. I Bóg mu pobłogosławił, a mianowicie w tem, że przy nim stanął poważny już dziś zastęp towarzyszy i druhów pracy, którym obce są namiętności burzące, gdy to jeden drugiemu wyrywa palmę z rąk, chociażby przyszło zburzyć i obrócić w niwecz, co się dobrego robi. Dzięki Bogu naszym dzielnym pionierom z pod Czarnohory, „Naszym nafciarzom“, obce sa te wszystkie wstrętne namiętności, a więc też najśmielsze ich projekta w stosunku do naszych warunków ekonomicznych uwieńczają się same zwycięstwem. A co tam w tej pracy najwięcej zaciekawia i budzi otuchę ku lepszej przyszłości, to te prawa zakonu, jakie „Nafciarze“ nasi pod Czarną horą sami sobie nadali i pilnują ich wykonania jakby przykazań Bożych.

Nie zapomnieli oni, że obywatel tej ziemi, Polak czy Rusin, o ile słusznie i naturalnie dąży do wzbogacenia się na drodze pracy osobistej, nie wolno mu zapominać ani na chwilę, co jest winien jako obywatel, krajowi — narodowi swemu.

Tego zakonu pilnują ściśle „Nasi nafciarze“ w Kołomyjskiem. Kto chociaż 10 lat wstecz znał tę cząstkę kraju i patrzał na to jak się tam lichwa, wyzyskiwanie i rabunek najwstrętniejszych żywiołów wzięły za ręce, aby okoliczne wsie i miasteczka zniszczyć, wyssać jak cytrynę, zdemoralizować lub i wyrwać z niego poczucie ostatniej samowiedzy, ten tylko doznawał nader gorzkiego uczucia, nie widząc możności ratunku. Serce się ściskało na widok tej nędzy, na to wywłaszczanie górskiego ludu, który szukając lepszej doli, ginął w Besarabii lub gdzieindziej, a po kraju zaczęło się wałęsać coraz więcej opuszczonych sierót.

Kto dziś zwiedza te okolice pomiędzy Kołomyją a Czarnohorą, zdumiewa się nad zmianami, jakie tam zaszły w tak krótkim czasie. Jakby życiodajny zefir orzeźwia społeczeństwo tamtejsze, pokrzepia jego siły moralne i fizyczne i daje rozpoznanie, oraz pchą do pilnej pracy na chleb. Jaką Kołomyja ma przyszłość, opierającą się na przemyśle górniczym naftowym, to już dzisiaj można przewidzieć.

Ale przypatrzmy się takiemu miasteczku jak Peczeniżyn, które jak to mówią, było do niedawna od świata cywilizacyi zabite deskami, a oddane jedynie w monopol lichwy i bezkarnego rabunku. Miasteczko to zaczyna odżywać jakby pod różdżką czarodziejską. Leży ono na drodze pomiędzy Kołomyją a Słobodą rungurską, tej naszej pierwszej Kalifornii galicyjskiej. Jadąc wyborną drogą od Kołomyji do Rungury, pachnie już nafta na całej trzymilowej przestrzeni, na której roi się od furmanek, zdążających tam i z powrotem. Spotykasz tak samo jak pod Borysławiem zamurzane postacie; pomimo to widzisz, że to są ludzie, a nie niewolnicy i nędzarze „piekła borysławskiego“. Jakiem dobrodziejstwem jest ten ruch transportowy, dosyć powiedzieć, że dziennie furmanki na tej przestrzeni kosztują przeszło 600 zł. Gdy zaś tyle kapitału wpływa do kieszeni ludu, to można pojąć jaką on stanowi pomoc.

Peczeniżyn liczy obecnie do 6.000 mieszkańca; a chociaż się tam już wiele zmieniło na lepsze, „N a s i n a f c i a r z e“ pomimo mozolnej pracy, zużytkowującej ich każdą chwilę żywota, nie spuszczają z oka powszechnego dobra. Pojmują oni, że rozkrzewienie oświaty jest jednym z głównych warunków przyszłości tych okolic i tego miasteczka, które się musi w krótkim czasie zamienić w miasto. Oświata zaś to szkoła, uposażona we wszystkie warunki, służące do rozwoju ducha.

W takiej to sprawie przybyli do Lwowa dnia wczorajszego pp. Stanisław Szczepanowski i Sygurd Wiśniowski, aby w Sejmie lub w Banku krajowym wyjednać pożyczkę zwrotną w kwocie 10.000 złr. naturalnie, że zaczem do Lwowa przybyli z tem żądaniem, rozpatrzyła się wprzód gmina Peczyniżyn, czy tę pożyczkę będzie mogła regularnie spłacać.

Wobec panującej w Sejmie zasady oszczędności nawet na tego rodzaju pożyczki, byłoby smutnem, gdyby pp. delegaci napotkać mieli, na jakiekolwiek trudności. Peczyniżyn w obecnej chwili, który na 6.000 ludności posiada zaledwie jakąś szkółkę niewystarczającą, ani w jednej części wymogom oświaty, stanowił dziś stacyę, że się tak wyrazimy — nader ważną, aby mogła być lekceważoną i po macoszemu traktowaną. Jeżeliby zaś Sejm krajowy, pod żadnym warunkiem niemógł takiej pożyczki zwrotnej udzielić, to Bank krajowy powinien przyjąć na siebie ten obowiązek, jeżeliby sobie niechciał zasłużyć na miano instytucyi blagi finansowej i jeżeli poczuwa się jeszcze do innych obowiązków a nie tylko do obowiązku otwierania kredytu dla wysokiej szlachty. Od dłuższego czasu krążą zaś pogłoski, jakoby tak rzeczywiście było. Niechże więc dyrekcya udowodni, że tak nie jest. Wprawdzie się dowiadujemy że Bank krajowy założył filię w Kołomyi, która obiecywała iść w pomoc przemysłowi naftowemu tamże. Dzienniki lwowskie bardzo szumnie się rozpisywały o tym dodatnim kroku Banku krajowego. Po roku jednak od chwili założenia można było doświadczyć, że taka działalność ogranicza się jedynie na teoryi, i należy słusznie powątpiewać, że dyrekcya Banku kraj. nie na seryo, ale dla decorum filię założyła. „Nasi nafciarze“ potrzebuje nieustannie pieniędzy i dzięki Bogu znajdują kredyt, gdy im potrzeba; lecz pomimo najszczerszej chęci popierania instytucyi Banku kraj. zaledwie d w ó c h skorzystało z tego wzniosłego dobrodziejstwa pomocy i kredytu, a na rok bieżący jak słyszymy nie znajdzie się ani jeden nafciarz tak odważny i ochotny, aby zechciał z d o b r o d z i e j s t w filii Banku kraj. w Kołomyi korzystać. Jest to najlepsze świadectwo dla działalności finansowej w myśl dobra kraju tej instytucyi.

Nic to jednak nie przeszkadza a bodaj czy głównie cel Banku nie jest ten, aby pp. dyrektorowie pobierali po 10, 8, 6.000 złr. rocznej pensyi, a wraz z innymi funkcyonoryuszami kosztowało utrzymanie tej instytucyi przeszło 40.000 złr. roczenie.

Zdaje nam się, że koszta takie w stosunku do kapitałów, jakimi Bank krajowy obraca, nie wytrzymują krytyki ludzi fachowych i jak się to zwykło mówić, nie starczy skórka za wyprawę. A jak to się mówi w całym kraju głośno, że mianowicie p. dyrek-

tor Wrotnowski, pobierający rocznie 10.000 złr., jest nader kosztownym i nie przynoszącym procentu.

Wprawdzie dni żywota tegorocznego Sejmu są jakby już policzone; ale przecież byłoby do życzenia, aby wysoki Sejm, zanim uchwali subwencyę w kwocie 4·000 złr. dla OO, Zmartwychwstańców na tę najsmutniejszego rodzaju blagę fabrykacyi Rusinów, zaczem uchwali przyjęcie do emerytury wrzekomych rządowych lat służby p. Ludwika Pierożyńskiego, i t. d. niechby się wprzód raczył zastanowić, czyby się nie dało jakich oszczędności zaprowadzić w Banku krajowym, a dajemy wyraźną radę, dotyczącą dyrektoryatu. Kraj pojmuje poświęcenie pp. dyrektorów i jest im niewypowiedzianie wdzięczny za takowe, lecz pensye ich uważa stanowczo za wysokie, za nieodpowiednie w stosunku do pracy i korzyści z tejże. A zresztą prawdę powiedziawszy, ci panowie, szczególniej nasi domorośli, nie byli nawet przyzwyczajeni do tak wspaniałego żywota, jaki teraz prowadzą. Niech będą wynagradzani przyzwoicie, ale odpowiednio do funduszów Banku. Niechaj zaś nie chorują na ekscelencye.

Powracając do „Naszych nafciarzy“ zwracamy uwagę naszych pp. posłów na ten dzielny zastęp pionierów w kołomyjskiej ziemi. Kto się tam wszystkiego dotyka, bada te tętna i wyniki, nie może ani na chwilę powątpiewać, że wobec naszych smutnych stosunków ekonomicznych, jedynie jeszcze prawidłowo prowadzone górnictwo naftowe tak jak w Słobodzie rungurskiej, a które ma wszelkie warunki po temu, aby dosięgnąć rozmiarów eksploatacyi amerykańskiej, jedynie jeszcze może zmienić stosunki na lepsze w Galicyi, i stać się ochronnym wałem od zalewającej biedy i nędzy.

Bronienie praw i możności rozwoju tego przemysłu powinno być pierwszym warunkiem pracy i usiłowań tak Sejmu jakoteż i delegacyi naszej w Radzie państwa.

Zdaniem naszem cały kraj winien się od nich tego domagać, a w przeciwnym razie, gdyby obowiązków tych zaniedbali — odebrać im mandaty.

Jaką powagę zyskują dzisiaj „Nasi nafciarze“, dosyć powiedzieć, że nawet Ameryka zawezwała kilku pod nader korzystnymi dla nich warunkami, aby z doświadczeniem swem i wiedzą podjęli się tamże eksploatacyi.

Co się dzieje z naszą młodzieżą akademicką?

Co działa młodzież akademicka dla naszej przyszłości? Jakie idealne dążenia zaprzątają jej umysły? Jakie talenta budzą się wśród niej dla sławy narodu? Jakiemi czynami dowodzi ona, że przynajmniej istnieje, że żyje, że jest młodzieżą?

Pytania te są prawdziwą zagadką dla każdego, kto zdala patrzy na nasze stosunki i rozwojowy bieg ich śledzi po wybitnych objawach naszego życia narodowego. Nam zaś, którzy z bliska patrzymy na to co się dzieje, serce ściska się z boleści, bo z rozpaczą wyznać musimy, że smutną jest przyszłość narodu, którego młodzież w bezczynności ręce opuszcza.

Gdy zestawimy bilans głośniejszych „czynów“ naszej młodzieży akademickiej z ostatnich czasów, to znajdziemy, o ile nas pamięć nie zawodzi, trzy tylko fakta, które przypomniały światu, co nasza młodzież robi. Najpierw czytaliśmy w dziennikach, że zamierzano „Czytelnię akademicką“, jedyne ognisko życia akademickiego, zwinąć — z powodu braku członków, czyli inaczej mówiąc, dlatego, że młodzież chodzi luzem i wcale nie myśli o żadnem zespoleniu sił dla celów ogólnych, byle tylko egoizm był górą. „Idea“ uśmiercenia „Czytelni akademickiej“ głęboko snać kiełkowała w umysłach młodzieży, skoro trzeba było aż ojcowskich napomnień ludzi, którzy już dawno pokończyli studya akademickie, a nawet ingerencyi kilku młodych docentów, aby ratować „Czytelnię“.

Przy takiej pomocy zewnętrznej, utrzymała się jeszcze Czytelnia przy życiu, ale ponoś ilość jej członków nie bardzo jest pokaźna i niedługo może znowu owa klasyczna „idea“ będzie podniesioną, jeżeli w ogóle Czytelnia sama z konieczności nie rozsypie się dla braku członków, tak, że nie będzie nawet komu „uchwalać“ rozwiązania jej. Myśl ta wydaje się tem prawdopodobniejszą, ile że młodzież nie może znaleść wśród siebie żadnej wybitniejszej jednostki, około której mogłaby się skupiać, czyli mówiąc po prostu, nie może sobie znaleść prezesa Czytelni. Kłopot byłto zdaje się wielki, skoro trzeba było aż poświęcenia się jednego z dawno już ukończonych akademikow, który podjął się swoją osobą ratować Czytelnię, aby ostatecznie dla braku prezesa znowu nie chciano „uchwalać“ jej rozwiązania.

Po raz drugi usłyszeliśmy, że młodzież akademicka żyje, gdy niedawno urządziła wieczorek Mickiewiczowski. Z wieczorku tego wynieśliśmy tylko tę refleksyę, że siły młodzieży muszą być bardzo skromniutkie, jeżeli widziała się zmuszoną do zaniechania dawnej tradycyi, gdzie to sama swemi siłami zapełniła cały program. Dziś ujrzałeś akademika w programie ledwie na pokaz, tak, że wieczorek ten można nazwać o tyle tylko akademickim, o ile akademicy zajęli się sproszeniem obcych sił artystycznych. Wielce obiecującym objawem była także okoliczność, że profesorowie uniwersytetu tak dobrze jak nie pokazali się wcale na tym wieczorku, tak że nieobecność ich raziła wszystkich, a nawet wcale niedwuznacznie wytkniętą została przez obcą osobę z publiczności, zaproszoną do zamknięcia obchodu.

Z czyjejkolwiek winy pochodzi ten brak łączności, — ponoś nigdy jej u nas nie było, — dość, że manifestuje on się teraz otwarcie w obec świata bez wszelkich ceremonii. Smutna otwartość!

Trzecim faktem z życia akademickiego, który się niedawno na szerszą widownię wydobył i w dziennikach był rostrząsany, były jakieś zajścia z kasyerem teatralnym o akademickie bilety na operetkę „Gasparone“.

Tyle mogliśmy spamiętać. Wątpimy, czy zaszedł jaki inny wielki fakt, godny zanotowania dla potomności, jeżeli my współcześni nic o nim nie wiemy. Urządzanie festynów, balów, koncertów i przedstawień amatorskich być może, że przez kogo uważanem jest za pożyteczną działalność młodzieży akademickiej, my w tem wszystkiem widzimy tylko dziecinne igraszki, które nie są żadną zapowiedzią lepszej przyszłości, żadnem odznaczeniem się w pracy narodowej. Najnowszą „ideą“ w tym kierunku są jeszcze komersy, urządzone na wzór niemieckich burszów, które pod pozorem zażyłości koleżeńskiej rujnują czas, zdrowie i kieszenie naszej młodzieży, wyrabiając w niej najobrzydliwsze nałogi bohaterów nocy, nie znoszących światła dziennego.

Na razie poprzestajemy na tem i pytamy tylko młodzież akademicką o dodatnie czyny zapowiadając, że odtąd bacznie wyczekiwać ich będziemy, a jeżeli ich nie doczekamy się w najbliższym czasie, wtedy zaczniemy wyraźniej mówić o tem, co też to przecie dzieje się w świecie akademickim. Wprawdzie karnawał nie jest czasem pokuty, myj jednak wzywamy do niej już teraz, bo zachodzi obawa, że właśnie on gotów nam przynieść wiele nowych materyałów, które nas zmuszą do pomieszania szyków wśród najhuczniejszych zabaw. Szlachetności naszej groźby pojmie każdy, któremu zależy na dobru Ojczyzny. Gdzie o tak ważną sprawę chodzi, tam piszemy zawsze bez rękawiczek a że się nam to udaje, dowodem szereg, naszych klientów, którzy drwili z nas wprawdzie, ale tylko tak długo, póki smutna konieczność nie przekonała ich, że głos nasz przecież coś znaczy. Oby tylko kiedyś historya nie była trybunałem, przed który nam wypadnie ze skargą poprowadzić naszą młodzież akademicką. Daj Boże jak najprędzej pozbyć się tej klienteli!

Ajencya kliki galicyjskiej w Warszawie.

W Warszawie wychodzi pismo codzienne pod tytułem: *Chwila*. Ma to być dziennik polityczny, literacki i społeczny. *Chwila* wzięła sobie za zadanie budowania mostu pomiędzy Polską a Moskwą. Pomimo to, u nas przynajmiej w Galicyi nie śmiano rzucić na Redakcyę ostatniego wyroku potępienia, gdyż jak lepiej poinformowani twierdzili, redakcya składa się z ludzi uczciwych, ale których opanowała mania polityczna, z jaką występują, czyniąc to w najlepszej wierze. W ostatnich czasach natomiast, gdy doszła wieść, że w redakcyi *Chwili* odgrywa ważną rolę znany we Lwowie p. Zoryan, recte Sedlaczek, którego charakterystykę podała redakcya *Strażnicy polskiej* podług *Przeglądu tygodniowego warszawskiego*, opinia czytelników *Chwili* we Lwowie znacznie się zmieniła, bo nikt jeszcze nie zapomniał, że p. Zoryan-Sedlaczek, który z rodu pierwszym dopiero jest polakiem, był głównym filarem *Dziennika dla wszystkich* w redakcyi p. Chamskego i najwierniejszym jego socyuszem, po duchu. Takie same stosunki wiązały go z p. ex-notaryuszem, redaktorem *Dziennika polskiego*, a to wystarczy, aby ocenić kto jest p. Zoryan-Sedlaczek.

Otóż ta potęga dziennikarska, i rzeczywiście znakomicie zaciągnięta w szeregi redakcyi *Chwili*, umieściła w tem piśmie na dniu 11. b. m. artykuł, pod tytułem: „Dziennikarstwo galicyjskie“.

Że autorem tego artykułu nie może być nikt inny, tylko p. Zoryan-Sedlaczek, nie ulega najmniejszej wątpliwości; a że jest agentem kliki stańczykowskiej, który już w programowym numerze na okaz *Chwili* debiutował, obrzucając śliną i błotem *Dyabła* krakowskiego i napisawszy już wtenczas osobny artykuł o *Strażnicy polskiej* i jej redaktorze, pełen nikczemnych kłamstw i oszczerstw, występuje poraz drugi obecnie, mówiąc o całem dziennikarstwie w Galicyi. Że zaś redakcya *Chwili* umieściła ten artykuł tendencyjnie, rozmyślnie i przedstawia agencyę kliki galicyjskiej — znalazłyby się na to i dowody; ale z takimi nieuczciwymi handlarzami politycznymi, nie polemizuje się. Wystarczy, gdy podamy dosłownie chociaż kilka ustępów z feuilletonu *Chwili*, a szanowni Czytelnicy, wyrobią sobie o tej agencyi moskiewsko-stańczykowskiej własne zdanie.

Słuchajcie co pisze p. Zoryan:

Na czele *Dziennika pols.* stoi Michał Sawicki były notaryusz. Jako człowiek prywatny, nadzwyczaj przyjemny i przytem bardzo dowcipny. Jako redaktor, jest „homo novus“ i nie arcydoświadczony. Posiada wiele nauki i naturalnego rozumu, a z temi danemi, może sięwyrobić na zdolnego kierownika. Główną podporą redakcyi jest Jan Lam, którego kroniki tygodniowe od kilkunastu lat chciwie czyta publiczność i są „great atraction“.

Pod względem tendencyi, jeżeli *Gazeta nar.* była różową, to *Dziennik pol.* zalicza się do czerwonych. (!)

Niedawno powstały *Przegląd* niema ani prenumeratorów, ani czytelników, a co zawdzięczyć może swemu redaktorowi p. Masłowskiemu Ludwikowi, którego chwiejna polityka, przerzucanie się z obozu do obozu, a wreszcie kilka niekonsekwentnych artykułów, umieszczonych na samym początku istnienia, odrazu zabiły wszelkie powodzenie i nawet teraźniejsza dobra redakcya nie może już uratować.

Wychodzić będzie zawsze, gdyż jest subwencyonowany i to nawet przyzwoicie.

Kuryer lwowski zostaje teraz pod redakcyą Rewakowicza, jednego z najzdolniejszych dziennikarzy galicyjskich. Barwa jego brukowo-ceglasta, rzuca się na wszystkich, którzy nie należą do jego partyi. Uosabia kierunek tromtadracyjny, to też ma sympatyę ulicy, która go popiera wszelkimi sposobami.

Z pism humorystycznych, *Szczutek* redagowany przez literata Zajączkowskiego, stanowi dziwny kontrast z innymi swymi współtowarzyszami, bo rzecz nie do uwierzenia. a jednakże prawdziwa, iż jest uczciwie prowadzony, nie bawi się w skandale i wywlekanie na wierzch brudów rodzinnych. Istnieje już ośmnaście lat i zawsze pełny humoru.

Brat jego *Śmigus*, zaledwie kilka tygodni żyje i o nim nie wiele złego, ale też i dobrego nie można powiedzieć. Czekajmy!

„Rznij prawdę, o resztę nie pytaj!“ oto dewiza p. Jana Nepomucena Gniewosza, słynnego borbifaksa i redaktora *Strażnicy*. Kto raz widział tego lwowskiego trybuna, z pewnością go nie zapomni. Głowa wielka, brzuch olbrzymi, obwiązany pasem, nogi jak u słonia, w ręku pałka, którejby mu Madej pozazdrościł, głos stentorowy tak silny, bo gdy przemawia z beczki na jakiém zgromadzeniu ludowem, to dno się ugina a szyby drżą w oknach, przytem mina zawadyacka i wyzywająca. Oto dokładna fotografia tego słynnego męża z nad Pełtwi, głośnego ze swoich zajść z c. k. prokuratorem, gdyż ów czcigodny prawodawca puszcza się czasem na manowce blagi i kłamstwa i skutkiem tego dość często wchodzi w kolizyę z sądami.

Gdyby się kto zapytał o tendencyę jego dziennika, nie umiałby odpowiedzieć, bo sam dobrze nie wie, czego chce i do czego dąży? Przedewszystkiem żyć trzeba i zdaje się, że ten frazes byłby odpowiedniejszym na dewizę *Strażnicy*.

O ile lwowskie pisma żyją ze sobą w niezgodzie, gdy idzie urządzić najazd na Gniewosza, wszystkie podają sobie ręce i hejże na Soplicę. Dawniej się go obawiano, bo nie przebierał w środkach i mógł być szkodliwym, dziś tak się ośmieszył, że teraz pomiatają nim nawet ulicznicy.

Już się przeżył i zakończył swoją karyerę. (!)

Nieustająca wystawa sztuk pięknych

we Lwowie.

„Nasz salon“ lwowski, bo tak go można śmiało nazwać, przedstawia się bardzo przyzwoicie, a kto posiada jakiekolwiek poczucie piękna, lub chce wyrobić w sobie smak artystyczny, temu nie wystarcza jednorazowe zwiedzenie salonu naszego, lecz powraca tam często, by znaleść sposobność chociaż na chwilę zapomnienia o troskach codziennych, a natomiast pokrzepienia ducha czemś szlachetniejszem. Przedewszystkiem radzimy tym, którzy jeszcze nie zwiedzili wystawy nieustającej, aby

tam spieszyli, gdyż nadsyłane dzieła sztuki nie będą trzymane na wystawie po kilka miesięcy, ale nieustannie zastępowane nowemi. Oto i obecnie za kilka dni odesłane zostanie do Krakowa kilka cennych tych pereł.

A więc przystępujemy do wzmianki o nich najpierw. I tak:

Zaczynamy od szkicu mistrza Matejki, do obrazu Joanny d'Arc. Ze wszystkich jego szkiców, jakieśmy widzieli, ten reprezentuje nawet obraz w małych rozmiarach. O krytyce ze szkicu nie może być mowy, ale ciepło, które zeń wieje, formalnie płonący życiem koloryt i cały projekt do obrazu, znamionuje rzeczywiście wielkiego mistrza, księcia sztuki polskiej. Takiego szkicu nie zdarzyło nam się dotąd widzieć w całej plejadzie artyzmu naszego.

Po nad tym szkicem, który kustodya wystawy przybrała w solenną szatę, wystawiony jest szkic drugi, do sztandaru Cyryla i Metodego, który mistrz złożył w ofierze w świątyni na Welehradzie. Chociaż to tylko znowu szkic i znacznie mniejszy od pierwszego, a jednak tak imponuje swoją ekspressyą, że mimowoli ogarnia widza tak poważne uczucie, jakiego przed chwilą nie miał. Postacie Cyryla i Metodego, po nad których głowami uwidoczniony na ołtarzu obraz Najświętszej Królowej Polski, Matki Boskiej Częstochowskiej, są tak klasycznie szlachetne, iż trudno sobie inaczej wyobrażać tych apostołów. Przy oglądaniu tych dwóch szkiców radzimy zwiedzającym, zaopatrzyć się w szkła teatralne, cofnąć się aż do przeciwległej ściany i przez te szkła przypatrywać się szkicom. A widok jest prawdziwie czarujący. Kto nie ma ze sobą szkieł, ten niech poprosi p. Kustosza Cichockiego, który ich chętnie udzieli.

P. Malczewski Jacek przysłał dwa obrazy; pierwszy niewielkich rozmiarów pod nazwą: „Zesłanie studentów". Jest to bezzaprzeczenia najznakomitsza kreacya, jaką dotąd ten artysta wykonał, a którego wszystkie dzieła sztuki oparte są na dziejach męczeństwa Polski. Ten mały obrazek, zajmujący nie więcej jak 2 stopy szerokości i 1½, wysokości, jest tak świetnie wykonany i wykończony, że mógłby śmiało rywalizować nawet z dziełami sławnego Messoniera. A przedstawia on taki straszny dramat z dziejów naszych, że patrząc nań, serce zimny dreszcz przejmuje.

Siedmiu czy ośmiu malców od 10 lat wieku do 16, siedzi zamkniętych w jakiemś prowizorycznem więzieniu. bodaj czy nie w pustej izbie szkolnej, na której ścianie rozwieszoną jest mapa Rosyi i Polski. Widzisz tam studencików w mundurkach należących widocznie do warstw zamożniejszych — szlacheccy synowie. Znużeni śpią na gołej ziemi, lub zwinięci w kuczki; a pod ścianą siedzi kilku z towarzyszy takich, co to przy bardzo skromnych środkach lub też o chłodzie i głodzie, o suchym kawałku chleba lub ziemniaku zdobywają oświatę, a duch Boży natchnął już te młodziutkie istoty miłością Ojczyzny. Aby opisywać każdy typ, nie mamy miejsca w naszych łamach, bo fizyognomie tych malców przedstawiają takie studya psychologiczne, a wszystkie szlachetne, że możnaby o nich książkę napisać. Szczególniej nęci ku sobie postać blondynka w szarej kapotce, czystej, ale łatanej, Z twarzyczki tej maluje się taka rezygnacya i zaduma, że zrodzić ją może tylko geniusz przyszłego wieszcza lub niezmordowanego apostoła przyszłości. Do niego tuli się towarzysz, który niezawodnie wyszedł z pod słomianej strzechy i czerpie siły ducha od tego, którego niezawodnie cała szkoła uważa i czci jak swego hetmana.

A jakież uczucie budzi ten malec, który zapewne świadom swego losu, że go wywiożą z rodzinnej ziemi, oderwą od rodziców i tych wszystkich, których ukochał i zawiozą gdzieś na lodem okryte morze, osadzą na okręcie morskich kadetów i męczyć będą tak długo, dopóki nie zapomni rodzinnej mowy, rodzinnego pacierza i Boga swego. W przeczuciu tem malec całuje jak obrazek święty to miejsce na mapie, które przedstawia — Polskę. Ta grupa malców, to są zbrodniarze stanu, bo jeden z nich zdobył jakąś książkę polską, którą z kolegami czytał potajemnie i z niej patryotyczne wiersze przepisywano. Zbrodnia ta wystarczyła, aby plemię buntowników, chociaż będące dopiero w zarodzie, wyrwać matkom i ojcom i wywieść tam, hen daleko i wtłoczyć w sałdackie dzieci, morskie kadety, gdzie nieustający świst rózg nakaże im zapomnieć wszelkich buntowniczych myśli.

Obraz ten, który jest po mistrzowsku wykonany, jest niestety własnością osoby prywatnej, chociaż dla niego byłoby jedno miejsce — w muzeum narodowem w Rapperswyll, bo tam mogłaby go tylko poznać Europa.

Byłoby wielce do życzenia, aby chociaż kopia tego obrazu mogła się tam dostać, której cenę rodacy chętnieby artyście złożyli.

Drugi obraz p. Malczewskiego jest dosyć znacznych rozmiarów, a zatytułowany w katalogu „Dwie generacye". Obraz ten przedstawia kopalnię sybirską, a w tej katordze dwie generacye męczenników z r. 1831 i z naszych czasów. Samo tło tego dzieła już daje poznać, co to zacz ci skazańcy, gdyby się nawet do katalogu nie zajrzało; a idea przewodnia tej kreacyi jest wiara w Boga, w jego sprawiedliwość i przyszłość narodu polskiego. oparta na niczem nie wyziębionej miłości jej synów. Grupa starców okutych w kajdany, którzy przeszli wszelkie katusze, jakie tylko caryzm mógł na nich wymyśleć, podchwyciwszy dogodną chwilę, zebrali się w gromadkę, aby zanieść gorące modły do Pana Zastępów. Nie za siebie, bo wiedzą dobrze, że oczy ich gasnące nie ujrzą już rodzinnej ziemi, ale modlą się za matkę Polskę, przenosząc się myślą pod jej niebo. Druga grupa również szlachetna, ale nie ma już tych żelaznych sił ojców swoich i nie można też mieć nadziei patrząc na nią, czy wytrwa długo, i czy jej Bóg da zachować taką czystość ducha. jak tym obok, ojcom męczennikom.

Na drugim planie jest jeszcze trzecia grupa, także męczenników, ale tych, złamał już ból i męki; przestali wierzyć i płomień na ołtarzu Znicza zgasł, a pozostało tylko zwątpienie, ostatnie iskierki rezygnacyi znikły, wydarły nieszczęśliwym z dusz człowieczeństwo nawet, a natomiast opanowało ich, że tak powiemy — zezwierzęcenie, które dogorywa i tonie w alkoholu. Zapomnieli oni już o wszystkiem, co święte i szlachetne; zamiast modlitwy na ustach — szyderstwo i przekleństwa. Straszna to scena, ale niestety prawdziwa. To prawdziwe dantejskie piekło, jakie zaczyna grasować w narodzie polskim. Kto tak upadnie, ten się już nie podniesie, ten stracony na wieki. Miejsce dla tego dzieła także byłoby właściwsze na więcej przystępnym widoku, aniżeli w rękach prywatnych.

Pod względem wykonania, nie zadowalnia nas w zupełności ten obraz. Acz kolwiek ma wielkie zalety, stoi jednak niżej od pierwszego o którym mówiliśmy.

Z przyjemnością jednak przypatrujemy się tym najnowszym kreacyom p. Malczewskiego, bośmy się pozbyli obawy, która nas od lat kilku opanowała, że ten genialny artysta pomimo najszlachetniejszego polotu ducha, który z taką miłością oddał się utworom męczeństwa Polski, znajdował się pomimo to na bardzo niebezpiecznej drodze przejścia w manierę, która już nie takie geniusze zabijała. Dziś widzimy, że artysta umiał powstrzymać cugle tej fantazyi i przekonał się zapewne, że nie dosyć puścić wodze geniuszowi, i rzucać chociaż olbrzymie szkice, a zapomnieć o tem, czego wymaga prawdziwa sztuka, aby ją przedstawić w zupełnem skończeniu. Dziś już nie mamy tej obawy, i przekonani jesteśmy, że p. Jacek Malczewski stanie wkrótce tam, gdzie go geniusz jego uprawnia stanąć.

Poczciwą musi być ta ziemia, która nawet artystów rodzi z innym duchem aniżeli gdzie in dziej; a jeżeli przejdziemy szereg tej naszej dziatwy Appelesa, w Porównaniu z innemi narodowościami, to się przekonamy, że nigdzie może nie tryska taka łączna miłość ojczyzny, jak u naszych artystów, którzy powołanie swe uważają, za apostolstwo narodowe. Ilużto z nich mogłoby, idąc za szerokim prądem cywilizacyi powszechnej, przybrawszy się w dżokiejskie kurtki siadać na „pegaza" i gonić za osobistą sławą oraz zyskiem, chociażby pomiędzy Zulusów. Takich na Parnasie sztuki polskiej jest mało; i niejeden z nich poświęcił już szeroką sławę, aby tylko żyć i oddychać pod ojczystem niebem. A jeżeli zapędzą go wichry gdzieś hen daleko, to i tam marzy o ojczyznie maluje jej niebo, jej dzieje. Takich malarzy naszych, którzyby tylko za chlebem pracowali w obczyźnie, mamy dzięki Bogu mało.

Są tacy niepospolici artyści, zacząwszy od Matejki, którzyby za żadną cenę, nawet za największe zaszczyty i mienie, nie pomieniali polskiej strzechy, za marmurowe pałace. Są tacy, którzy ich nazywają dziwakami. Ale my pawiadamy. „Szczęść im Boże!" w tem dziwactwie.

Do takich dziwaków zaliczamy i p. Pruszkowskiego Witolda, któremu nawet Kraków jeszcze niewystarczał do pojęć jego idylli, to też krótko się namyślając, przeniósł się pod słomianą strzechę w Mnikowie pomiędzy Bartków i Maćków, których całą duszą ukochał i od nich jest kochany. Pomiędzy nimi szuka natchnienia, które ku wiecznej pamięci i w cześć polskiej ziemi, przenosi na płótno.

Wielką ozdobą naszego „salonu", jest dużych rozmiarów obraz tegoż artysty, „święto Matki Boskiej Zielnej" Aż się serce raduje, patrząc nań. Jest to dzieło sztuki w szerokim stylu; obraz naturalnej wielkości, malowane z niezrównaną prawdą charakterów, koloryt świetny i ciepły a rysunek poprawny. Obraz ten zasługuje szczególnie na zaletę, gdyż pomimo, że każda postać, draperya, natura, brane z życia, tworzą cudowną harmonię piękna i w niczem nierażą realizmem, przy którym piękno prawdziwe, schodzi na drugi plan. Liczna grupa przedstawia głównie, świątecznie przebrane niewiasty z okolic Krakowa, zacząwszy od staruszki, aż do dzieciaka. A z każdej postaci wieje taka poczciwość, taka szlachetność i takie podniesienie religijne ducha, jakie tylko u nas i to w wolnym okręgu krakowskim, spotkać można.

W p. Pruszkowskim, ceniliśmy zawsze uzdolnionego wysoce artystę, ale właśnie dla tego, byliśmy w ocenie jego dzieł w kolizyi nieustannej, gdyż mieliśmy tę samą obawę, jak względem Jacka Malczewskiego, że p. Pruszkowski, wsiadłszy na rozhukanego pegaza geniuszu, ugrzęźnie zanadto głęboko, w manierze kolorytu, któremu nawet rysunek poświęci. Stało się jednak inaczej. P. Pruszkowski, występuje dziś z dziełami, których szlachetności stylu w ogóle nikt nie zarzucić nie może, a „Święto Matki Boskiej Zielnej" zaliczamy do cennych dzieł w malarstwie polskiem. Są wprawdzie tacy krytycy, którzy p. Pruszkowskiemu zarzucają, że tak wielkie płótna, które według nich, właściwe są dla obrazów dziejowych, poświęca takiej idylli wiejskiej i scenerыі zanadto powszedniej. Nad taką oceną i zarzutami, przechodzimy do porządku dziennego i wątpimy, aby te wrzekome zdania znawców, miały wpłynąć na dalszą działalność artysty. Bo któż nam może poręczyć, że za lat sto „kulturträgerya" powszechna, niezatrze i tych śladów naszej odrębności narodowej, a przyszłe nasze pokolenia, niebędą tak samo badać tych dzieł sztuki, jak my dzisiaj patrzymy, na obrazy dziejowe wieków średnich..

Oprócz tego dzieła, nadesłał jeszcze artysta inne cenne obrazy, jako to: „spadającą gwiazdę", „w nocy" i nader ciekawą alegoryę „smoka podwawelskiego". Każdy z tych obrazów świadczy, że p. Witold Pruszkowski, zdobył sobie już bardzo poważne stanowisko, na Parnasie sztuki polskiej i że nie pracuje dla chleba, ale dla idei wyższej opartej na miłości Ojczyzny.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Stronnictwo

narodowo - demokratyczne polskie

w sprawie wyborów do Rady miasta.

Obywatele Wyborcy stołecznego miasta Lwowa!

Czynimy Wam wiadomo, że z nader ważnych powodów zawiązał się komitet przedwyborczy, składający się z dwudziestu członków bezwarunkowo niezawisłych i nie liczący w swem gronie, ani jednego obywatela, który zasiada dotąd w Radzie miasta lub też miałby zamiar kandydowania na członka nowej Rady.

Komitet ten dla tego się w tych warunkach zawiązał, aby nie nurtowały w łonie jego osobiste zachcianki i dążności, ale panowało zastanowienie i najsumienniejsza bezstronność.

W skład tego komitetu wchodzą prawie wszystkie warstwy społeczne uprawnione do wyborów.

Że nie podajemy nazwisk członków komitetu, dzieje się to z powodów bardzo zrozumiałych, gdyż nikomu z Wyborców nie jest tajnem, aby nawet mężowie najzacniejsi i prawi mogli występować bez szkody dla siebie i dla swych rodzin w charakterze zupełnej niezależności.

Rzeczywiście, po raz pierwszy zebrał się taki komitet, licząc od samego początku ery autonomicznej, a stworzyła go konieczność obrony dobra miasta, czci i honoru obywatelskiego.

Komitet nie postawił się na stanowisku skrajnem; jego hasłem nie jest, aby tylko jedna warstwa społeczna opanowała salę Rady miasta, ale aby wszystkie warstwy społeczne, tak samo narodowości, jakoteż i wyznania były równo uprawnione.

Aby jednak lista wyborcza wychodząca z łona naszego komitetu była doskonało-

ścią, tego powiedzieć nie ośmielamy się, a to z następującego powodu.

Na pozór zdaje się nic łatwiejszego jak w stolicy kraju, liczącej do 130.000 mieszkańca, wybrać 100 radnych. Musimy jednakowoż obywatelom wyborcom oświadczyć, że nie jestto tak łatwa sprawa i dopiero wziąwszy się do niej, rozpatrzywszy się we wszystkich przedstawianych kandydatach, przychodzi się do przekonania, że to jest praca ciężka, nader trudna.

Są np. pewne warstwy społeczne i zawody fachowe, w których sumiennie rzecz biorąc, trudno znaleść chociażby jedną odpowiednią osobitość, jeżeli się Rady miasta Lwowa nie chce lekceważyć. A niestety, ze smutkiem to musimy wypowiedzieć, że takich odpowiednich kandydatów brakuje w tych warstwach społecznych, które chcielibyśmy widzieć, by miały powagę w gremium Rady.

Prawdą jest, że w warstwach średnich a nawet wyższej inteligencyi pomiędzy urzędnikami i profesorami jest wielu ludzi wysoce zdatnych, którzyby chcieli sumiennie pracować w Radzie dla dobra miasta; ale kto zna nasze stosunki i zależność tych ludzi, od których trudno żądać, aby ryzykowali swój własny byt i przyszłość swych rodzin, od nich nie można żądać, aby całą dolę swoją postawili na ostrzu noża, Natomiast karjerowiczów nie brak i od uroszczeń tychże trudno się opędzić, jak tego mamy dowody w komitecie miejskim, przejrzawszy chociaż różową listę, tak zw. „ściślejszego komitetu“.

Pomimo wszelkich przyrzeczeń głównych przewódzców„ a którzy nawet swoje przyrzeczenie dawali w dobrej wierze, już dzisiaj można przewidzieć, jakie to tam żywioły wciągnie ten komitet przedwyborczy do swej listy 100 radnych. Niektóre nazwiska przedzierają się już dzisiaj jakby zgrzyt, zardzewiałej machiny. Aż się zimno robi, na samą myśl, co to będzie, gdy takie nowe siły wnijdą do Rady miasta. A nie weszły one na listę wolą wszystkich członków komitetu, ale naciskiem kilku nader wpływowych osobistości, a które przyszły — wiadomo nam z jakich obozów. Musimy na tem miejscu zaświadczyć, że walka w komitecie przedwyborczym miejskim, była i jest zaciętą, ale pomimo wszelkich protestów, klika musiała przeforsować pewną paczkę niebezpiecznych żywiołów dla Rady miasta i dla mieszczaństwa. Pokazuje się ztąd, że i ci członkowie komitetu przedwyborczego z różowej listy, na których można było najwięcej liczyć, a którzy mieli na tyle odwagi, że pewne osobistości, które już dawno nie powinny były mieć nic wspólnego z Radą miasta, teraz usunięto; bo i o tem wiemy, zabrakło im odwagi i niezależność stała się bardzo wątpliwą, jeżeli dopuścili wprowadzenia na listę kandydatów znowu pewnych osobistości, o których wiadomo jest do jakiej kliki należą

Nie dosyć albowiem było, brać na szalę ich dotychczas znaną osobistą prawość, ale należało znać i to, że jeżeli cały byt kogoś zależy n. p. od Länderbanku, to osobistość ta tak musi śpiewać, jak Länderbank każe.

Otóż komitet narodowo-demokratyczny polski dla tych jedynie powodów zbiera się na obrady, aby zestawić listę kandydatów do Rady miasta, o ile się to da przy naszych bardzo trudnych stosunkach społecznych, **najwięcej możebną.**

Mówimy rozmyślnie „najwięcej możebną, — gdyż zupełnie odpowiedniej nie dało się ułożyć wobec niebezpieczeństwa grożącego, aby Rada miasta nie dostała się w ręce przewagi znanej kliki, należało niektóre osobistości zakonserwować w Radzie. Możemy jednak z czystem sumieniem poręczyć, że komitet przedwyborczy stronnictwa demokratycznego polskiego,uczynił wszystko co jest godziwe, i co mu bezstronna niezależność wskazywała.

Na dowód tego poręczenia wydamy bezzwłocznie listę naszych kandydatów do Rady miasta, aby Wyborcy mieli czas się w niej rozpatrzyć i przekonać, że stronnictwo narodowo-demokratyczne polskie nie obawia się światła dziennego.

Jak się dowiadujemy, stronnictwo „Puchaczów“ pracuje również pełną siłą pary, ale podobno nie bardzo fortunnie, gdyż mało jest takich odważnych, którzyby się z nim łączyli; bo jeżeli kiedy, to dziś na skrajne drogi nie wolno nam wstępować. Nic łatwiejszego, jak obałamucić zastęp poczciwych ale prostodusznych naszych przedmieszczan, którym jeżeli ktoś trafi do przekonania frazesami, blagą i okłamując ich czy to dla własnej ambicyi czy dla własnego interesu, porwie ich za sobą Ale zapytujemy p. dra Cieselskiego, jako naczelnego wodza tego stronnictwa, który taką poważną rolę niegdyś odgrywał w stronnictwie „Łączności i Zgody“, czy sztab jego, złożony z p. Roskosza, dr. Błażejowskiego adwokata, p. Sroczyńskiego, p. Lewandowskiego, p. Ignacego Frieda, ma rzeczywiście na oku dobro przedmieszczan, a nie swoje osobiste interesa i ambicye. Czy gromadzenie koło siebie najbiedniejszych Żydów Wyborców albo innych przewódców wyborczych mojżeszowego wyznania, ofiarując im przeprowadzenie dwudziestu kandydatów izraelitów na członków Rady miasta, wiedząc, że się tego niemoże dokonać, gdyż tylko chodzi o burdę wyborczą, a bogdaj, czy nie o poparcie kliki, która juz na pierwszym kroku doznała porażki. Czy to jest po obywatelsku i patryotycznie?

Być może, że się organizują jeszcze i inne kliki, ale my przekonani jesteśmy. że zdrowy zmysł Obywateli wyborców, nie poda któremukolwiek z tych kandydatów ręki.

Stronnictwo „narodowo-demokratyczne polskie“ nie należy do szeregów antisemickich, ale swoją drogą przeszkadzać będzie, jeżeli wyborcy Izraelici, stawiać będą zanadto wygórowane żądania. Przed liczbą dwudziestu radnych żydów, bronić będziemy przyszłej Rady całym naszym wpływem i siłą, a to z tego powodu, że Izraelici, od kadencyi do kadencyi, stawiają co raz wyższe żądania, przez co dzieje się krzywda braciom Rusinom.

Stronnictwo „narodowo - demokryczne polskie“ — nie uważa za łaskę, jeżeli wybiera jakiego Rusina do Rady: nie w każdym kandydacie jeszcze tej narodowości, — widzi odpowiednią siłę i jeżeli kandydat mieni się być gente ruthenus a natione polonus, a pomimo to, trudno się jego barwy narodowej dopatrzeć i jej zawierzyć. Dla nas brat Rusin każdy, na którym ani cień nie cięży, że ma coś wspólnego z moskalofilami, z „jurgeldnikami kacapami“. Tym stronnictwo „narodowo-demokratyczne polskie“ nie zawaha się pokazać nawet ostrych zębów, gdyby się chcieli wcisnąć do Rady miasta, wtenczas przekonani jesteśmy, że Polak, Rusin i Zyd, wołać będą: — „precz z Moskalem!“

Oto są nasze hasła i mamy nadzieję, że Bóg im dopomoże.

W imię tych haseł: — niezależności, równości, jedności, wzywamy wszystkich zacnych Obywateli, do wspólnej pracy wyborczej.

Lwów, dnia 15. Stycznia 1886.

W imieniu stronnictwa „narodowo-demokratycznego polskiego“.

Redakcya Strażnicy polskiej.

KRONIKA.

Odpowiedź Redakcyi na anonimowe zarzuty.

Po wyjściu z pod prasy 7. Nru. *Strażnicy polskicj*, nadesłano do Redakcyi aż cztery listy bez podpisu, dotyczące zastrzelenia pobereźnika na polowaniu, w dzień Wigilii dnia 24. Grudnia 1885 w lasach, należących do dóbr kapitulnych Basiówka.

Zarzuty uczynione redakcyi, jak by ta idąc w ślady dziennikarstwa lwowskiego, usuwała z pod kontroli opinii publicznej pewne osobistości, które są przez dziennikarstwo zaliczone w szereg monopolistów nietykalnych, zarzuty te są najniesłusznieisze. Bo jeżeli redakcya o tym smutnym fakcię niedoniosła, pochodzi stąd, że redaktor *Strażnicy polskiej.* złożony dotkliwą chorobą, zacząwszy od dnia Wigilii, aż po Nowym Roku, niewstawał prawie z łóżka, w skutek czego Nr. 7. *Strażnicy polskiej* — opóźnił się o tydzień. Gdyby ci panowie, ktorzy nadesłali anonimy, zamiast niesłusznego podejrzenia redakcyi, byli nadesłali odnośne korespondencye o wypadku, a redakcya niebyła ich zamieściła, ntenczas podejrzenia byłyby słuszne. Uczynione jednak bezpodstawnie, czy są godziwe? Poczyniliśmy jednak starania i to, cośmy zebrali. podajemy. Rzecz ta, tak się przedstawia:

Oto „sport myśliwski“, który się w ostatnich latach znacznie ożywił, pociąga w swe szeregi nie tylko ziemian obeznanych z knieją i strzelbą, ale przemienia na „Nemrodów“, często osobników, dla których — z powodu ich powołania — pasya ta powinna pozostać obcą. Mianowicie stan duchowny, księża, winni się bardzo powstrzymać od tego rodzaju amatorstwa, chociażby przez sam wzgląd na przykazanie Boże: „Nie zabijaj“.

Wiadomo powszechnie, że polowania w dzień Wigilii bywają bardzo ożywione i wesołe, z powodu śniadań wigilijnych używanych w stanie płynnym. Tak się też stało i na dniu 24. Grudnia przykońcu roku 1885.

Do kapitulnych dóbr Basiówki, wyjechało dwóch „Nemrodów“ lwowskich; jeden znany bankier lwowski, a drugi poważny kanonik, łacińskiego obrządku.

W kniei stanęli niedaleko jeden od drugiego. Niewiadomo czy była pogonka lub nie, czy też tylko z gończakami polowano.

W krzakach coś załomotało i mignęło przed oczami. Być może, że kożuch dał powód, do wzięcia go za zwierza.

Pif! paf! — rozległy się równocześnie dwa strzały. Z jednej strony pędzi bankier uradowany trafnym strzałem na grubego zwierza w dzień Wigilii, a z drugiej co mu tchu starczy — pędzi kanonik i woła do bankiera to mój! Przepraszam! — to mój!

Dopadają prawie równocześnie poległego zwierza. Jakieś dziwne wrażenie odmalowało się na fizyognomiakh banoiera i kanonika.

To nas bynajmniej nie zadziwia, że miny nie były wesołe, ale bardzo rzadkie bo dziki zwierz zamienił się niestety w swojskiego człowieka — pobereżniea, żonatego i ojca czwerga dzieci.

Strzał był trafny, chociaż tylko jedna lotka — trafiła poza uchem w głowę nieszczęśliwego ojca biednej rodziny. Ani drgnął; śmierć nastąpiła prawie równocześnie z wystrzałem, a więc tak szybko, że ks. kanonik niemógł nawet udzielić ostatniej absolucyi.

Prawda, — że wypadki takie zdarzają się, a szczególnie w tym sezonie myśliwskim, ma już kronika krajowa nie jeden do zanotowania.

Wypadek taki, mógł się każdema śmiertelnikowi przytrafić, ale ten, o którym piszemy, ma mieć jeden bardzo ciekawy moment. Oto po krótkim rozhoworze pomiędzy bankierem, a kanonikiem, który się w dyalogu tak przedstawia:

— To nie ja! to pan go zastrzeliłeś!

— Przepraszam! to nie ja ale ksiądz kanonik!

Niebawem potem pospiesznym krokiem, zdążali dwaj „Nemrodzi“ tam, gdzie na nich ich sanki czekały i w szalonej jeździe podążali do — Lwowa aby się niespóźnić na kutię i na kluski z makiem.

Trupa pobereżnika, miano dopiero dnia trzeciego znaleść na miejscu, tam gdzie padł.

Być może, że odnośne władze sądowe, zostały o tym wypadku zawiadomione i nie wątpimy, że będzie przeprowadzone śledztwo karne. Kte właściwie zastrzelił pobereżnika: — bankier czy kanonik, śledztwo może będzie w możności udowodnić, a może i nie.

My mamy tylko to na myśli, że pozostała osierocona rodzina pobereżnika, a biedna bardzo jak nam donoszą, siekierka zaś zastrzelenia nie ginie, ale za-

wisła jak wiadomo powszechnie, pomiędzy dwoma bardzo zamożnymi ludźmi, a żyjącymi w kawalerskim stanie. Otóż byłoby wielce do życzenia, aby szersza opinia publiczna mogła się przekonać, — jak też wysoko ocenili panowie „Nemrody“ śmierć biednego pobereżnika, chociaż to tylko prosty chłop i jak się zaopiekowali pozostałą wdową i sierotami.

Zaznaczamy, że Timesy nadpełtwiańskie przeszły nad tym przedmiotem do porządku dziennego, wyjąwszy *Diła*.

Wyższa odwaga cywilna, recte tumany puszczane ludziom, czyli blaga, nigdzie tak nie kwitnie świetnie, jak w naszej kochanej Galicyi. Ktoby zadał sobie pracę i zebrał tego rodzaju, z dzienników galicyjskich, opisy bankietów, jubileuszów, czułych pożegnań itd. dla różnych śmiertelników, wrzekomych znakomitości, zasłużonych dobrze krajowi, spisywanych ku wiecznej pamięci, przez różnego rodzaju płatnych skrybów, a opatrzył te kroniki prawdziwymi komentarzami, to następne pokolenia miałyby ciekawy obraz naszej moralności społecznej, przy końcu XIX. wieku.

Oto znowu wyczytujemy w *Gazecie narodowej*, w organie reklam hydropaty z Fürstenhofu, doniesienie z Drohowyża, jak tam czule żegnano p. Juliusza Starkla, wynoszącego się z dyrektorstwa, nad sierotami i starcami.

P. Juliusz Starkel, przywiózł z sobą na tę uroczystość klasycznego świadka p. Platona Kosteckiego, powołał go bowiem, by tenże przeniósł „ku wiecznej pamięci“ do kronik przyszłych pokoleń, sławę znakomitego męża. Rzeczywiście, tylko pan Juliusz Starkel i jego polityczni przyjaciele w Drohowyżu, mogli się zdobyć bez zarumienienia, na taką niesmaczną blagę i farsę, drwiącą sobie z wszystkiego co uczciwe i szlachetne. Szkoda wprawdzie miejsca w łamach *Strażnicy pol.*, ale podajemy w całości, co wydrukował p. Juliusz Starkel, obecnie pełnomocnik *Gazety narodowej* i redaktor, przy pomocy p. Platona Kosteckiego, generalnego improwizatora lwowskiego:

„Z Drohowyża. Ostatniego grudnia popołudniu odbyło się uroczyste i w całej pełni serdeczne pożegnanie dotychczesowego dyrektora tutejszego zakładu, p. Juliusza Starkla, który przybył z p. Platonem Kosteckim. Na wstępie powitała go hucznie kapela uczniów zakładu, wcale dobrze grająca na dętych instrumentach.

Przed nieszporami zgromadziła się w sali zebrań starszyzna zakładu z uczniami szkolnymi i warstatowymi, tudzież weteranami. Z muzyką wprowadzono p. Starkla do sali, gdzie go powitał kapelan rz. kat., ks. Swadowski, tudzież jeden uczeń młodszy i jeden starszy, dalej p. Hoszowski (!) w imieniu funkcyonaryuszów, doręczając oraz album pamiątkowe, i p. Zaneiwski, weteran z r. 1831. *Ze zdumiewającą precyzyą wygłosili uczniowie swoje przemowy* (Biedne katarynki żywe. Red.) *wszystkie zaś w ogóle przemowy pałały szczytnem pojęciem misyi zakładu*, jego uczniów i funkcyonarjuszów, tudzież *najgłębszą wdzięcznością* (Supper blaga!) a u starszyzny prawdziwą czcią dla ustępującego dyrektora. Przez cały czas nie było suchego oka w tak licznem zebraniu.

P. Starkel odpowiadając trzy kroć, oświadczył, *iż dlatego prosił (!) o uwolnienie z obowiązków dyrektora, ponieważ jednostajną pracą lat jedenastu od chwili organizacyi zakładu czuje się znużonym*, dalej, że nie był pewnym, czy nadal będzie mógł kierować zakładem według jedynego możliwego w nim systemu — *powszechnego poczucia obowiązków, a nie pruskim rygorem wojskowym*. Dziękując za pomoc koleżeńską w pracy funkcyonaryuszom a uczniom za piękne prowadzenie się, tudzież za szczere wyrazy uznania, przedstawił, że nowy kurator hr. Skarbek niezawodnie jest przyjęty najlepszemi chęciami dla zakładu. Prosił, aby starszyzna w poczuciu swojej misyi wytrwała na swojem stanowisku mimo niejakich niedogodności. Przyrzekł wreszcie, *że i ze Lwowa, gdzie objął teraz niemniej ważną dla ogółu służbę będzie się zajmował dobrem zakładu (!)* a może nawet skuteczniej jako interesowany osobiście, niż gdyby nadal pozostał dyrektorem. Rozrzewniony wreszcie prosił, aby wszyscy, tak fukcyonaryusze jak uczniowie, *do niego w każdej potrzebie się udawali.*

Następnie udano się do sali, w której z zakonnicami nauczycielkami były zebrane uczennice młodsze i starsze. Były serdeczne pożegnania od jednych i od drugich, prześlicznie wygłoszone, mianowicie wiersz pożegnalny od uczennic młodszych, pióra jednej z zakonnic, przedziwnie zastosowany do okoliczności i dziatwy — a w każdej zwrotce kończący się refrenem: „Biednych sierotek, którym Bóg w niebie — Zabrał rodzinę, ale dał Ciebie“. A ostatnia zwrotka brzmi:

„Myśl Twa, rzucona w nasz światek mały,
Chociaż odjedziesz, wciąż będzie żywa;
O Twoje szczęście będziem błagały,
A Boga wzruszy modlitwa tkliwa
Biednych sierotek, które w potrzebie
Życie by swoje dały za Ciebie“.

A jak był wygłoszony ten wiersz! Nastąpiły nieszpory, poczem w kasynie drohowyzkiem (w sali zebrań) odbyła się mała przekąska z solennem „Mnohaja lita“. I jeszcze raz się serdecznie pożegnano — do widzenia!

Piękna ta uroczystość, godna zakładu i ustępującego dyrektora, podniosła a serdeczna, skończyła się prawdziwie staropolską wieczerzą w gościnnym domu państwa Kretschmarów, gdzie o północy powitano Nowy rok z otuchą, wnosząc przedewszystkiem zdrowie dr. Kretschmara, lekarza i tymczasowego kierownika zakładu, tudzież jego małżonki, która choć Francuzka z rodu, nawskróś przejęła się duchem polskiej gospodyni domu.“

* * *

Opis ten jest niczem więcej, jak do potęgi podniesionym cynizmem, a dowodzącym, że p. Juliusz Starkel, nawet w sprawach własnego, osobistego dobra, nie jest poczytalnym, a więc też i takim był dyrektorem Zakładu. Chcąc twierdzić publicznie, że: „*z powodu jedenastoletniego strudzenia, sam prosił o uwolnienie z obowiązków dyrektora*“ dowodzi, że temu panu przychodzi tak łatwo wypowiedzieć nieprawdę, jak połknąć smaczny karmelek.

Faktem albowiem jest, że p. Juliusz Starkel, był nadal niemożebnym jako dyrektor Zakładu w Drohowyżu i w grzecznej tylko formie został wydalony. Podsuwając nowej Kuratoryi rygor wojskowy pruski, gdy ten dotąd przynajmniej niema miejsca, fakt ten świadczy najlepiej o charakterze p. Juliusza Starkla. Natomiast nie można mu tego zaprzeczyć, że jest najwłaściwszą siłą dla *Gazety narodowej*, jak ją właściciel tejże, hydropata z Fürstenhofu pojmuje.

Jedną rzecz tylko radzimy p. Juliuszowi Starklowi, oto, aby go raz na zawsze przestał obchodzić los starców i sierót w Drohowyżu i niepoważał się nadal dawać im swoich cennych rad.

Kuratoryi obecnej natomiast tylko to radzić możemy, ażeby przeprowadziła zupełną desinfekcyę i niepozostawiła ani śladu z tych funkcyonaryuszów, którzy tak gorące łzy ronili po p. Juliuszu Starklu.

Rozwielmożniony moskwicyzm we Lwowie. Przed kilku dniami rozlepiono na murach miasta wielkich rozmiarów plakaty, które uwiadomiały o trzechletnim jubileuszu instytucyi stauropigiańskiej. Każdy plakat obejmował dwa metry wysokości i jeden szerokości, a stylizacya w najczystszym moskiewskim języku. W całości tego ogłoszenia można było dostrzedz zaledwie dwóch wyrazów nie moskiewskich, a zbliżonych do języka ruskiego. Jestto zaiste cynizm bezkarny, który się nigdy tak jawnie nie rozwielmożniał jak obecnie. Ale moskalofilstwo czuje się dzisiaj w Galicyi silniejszem, gdyż nawet klika stańczykowska uważa w nim ideę, którą należy uszanować, aczkolwiek się ktoś z nią nie zgadza. Według tego apostolstwa stańczyków z ideą tą dlatego się należy liczyć, że ona dąży do połączenia się z wielkim narodem i mocarstwem, gdy natomiast warcholstwo narodowe ruskie marzy o jakieś odrębności narodowej i pielęgnowaniu języka narodowego ruskiego. Wiedzieli też panowie Torosiewicze i Golejewscy, w jaki ton mają uderzyć w Izbie sejmowej, gdy zaprzeczali wprost bytu Rusinów, nazwali ich nihilistami, a że się nie asymilowali wprost z ideą moskalofilstwa, uczynili to jedynie dla tego, że byłoby to zawcześnie. Znamy fakta, że ajenci stańczykowscy już podczas seryi sejmowej usiłowali idee swoje wcielić w niektórych posłów, nie należących jeszcze do obozu stańczyków, że moskolofilstwem w Galicyi nie wolno poniewierać, gdyż ono ma swoją ideę wielko-polityczną.

Gdy jednak śmiało możemy twierdzić, że ani Rząd, ani władze bezpieczeństwa tegoż nie mają nic wspólnego z tą ideą, to byłoby też wielce do życzenia, aby jak najspieszniej zaradzono coś przeciw rozwielmożnianiu się moskalofilstwa we Lwowie i Galicyi, i przytarto rogów tej bezkarnej propagandzie, której śmiałość przechodzi już wszelkie granice cierpliwości.

Zawczesna radość. Przed kilku dniami rozeszła się po Lwowie lotem błyskawicy wiadomość, że p. notaryusz Kwaśnicki, w imieniu ks. Adama Sapiehy, właściciela „Dziennika polsk.„ wypowiedział w imieniu tegoż dalszą dzierżawę tego pisma p. ex-notaryuszowi, Michałowi Sawickiemu, który od dwóch lat ani centa dzierżawy, za „Dziennik“ niezapłacił. Zapanowała z tego powodu powszechna radość we Lwowie, że taka ohyda redakcyjna spadnie z pisma, które się nazywa „Dziennikiem polskim“. Mówiono również głośno, że nawet książe Adam Sapieha przyszedł już do przekonania, iż takiego redaktora należy się nareszcie pozbyć.

Stało się jednak inaczej, gdyż jak się następnie przekonano, księciu panu szło tylko jak zawsze o stronę realną, czyli interes; moralna zaś część pisma, „Dziennika pol.“ ta mu jest zupełnie obojętną. P. Michał Sawicki umiał jakoś przekonać młodego człowieka ze sfer literackich, a zamożnego, iż ten wszedł w spółkę z p. ex-notaryuszem i zaliczył mu 13.000 zł. Książę pan, odebrawszy zaległość dzierżawną, czuje się zupełnie zaspokojony.

Panu Barańskiemu - Ostaszewskiemu, wspólnikowi p. Michała Sawickiego, możemy tylko powinszować cywilnej odwagi, do wejścia w taką Spółkę.

W Kurjerze lwowskim z dnia 12. b. m. czytamy co następuje:

„Proces socyalistyczny odbył się w tych dniach w Kołomyjskim sądzie obwodowym. Na ławie oskarzonych zasiadali: znany literat ruski p. Michał Pawlik i siostra jego Anna, oskarżeni o propagandę socyalistyczną, a nadto panna Pawlikówna o obrazę żandarma. Z rozprawy okazało się, że doniesienia były fałszywe, uwolniono więc oskarżonych od winy. Pawlikówna zasądzona tylko została na areszt miesięczny za obrazę żandarma, któremu podczas odbytej u niej rewizyi wyrazić miała oburzenie z powodu bezpodstawnych podejrzeń. P. Pawlik przesiedział więc skutkiem fałszywych donosów, niewinnie kilka miesięcy w kryminale kołomyjskim. Dodajemy, że p. Pawlika spotyka ten los zawsze, ile razy pojawi się w rodzinnych stronach“.

Doniesienie to sprawiło na nas jak najprzykrzejsze wrażenie, a to z następujących powodów:

Nikt nas zapewne nie może posądzić, abyśmy należeli do obozu socyalistów, a tem mniej nihilistów; a to po prostu dla tego, że służyliśmy tylko pod jednym sztandarem narodowym i służyć będziemy do skonu, pod sztandarem, wziętym w spuściźnie po ojcach naszych. Zresztą jesteśmy już za starzy, aby nasze przekonania bądź polityczne, bądź społeczne, przemieniać i szukać innych.

Nic to nam jednak nie przeszkodziło, że korzystając ze sposobności, poznaliśmy osobiście i bliżej Michała Pawlika. Nie wypierał on się bynajmniej, że jest socyologiem, ale daleki od socyalizmu, jak go się zwykle pojmuje. Poznaliśmy w nim młodzieńca nader surowych zasad żywota z obszerną wiedzą i twardej sumiennej pracy naukowej.

Jego własne „*ja*“ nie istnieje prawie dla niego, ukochał on lud, z którego wyszedł z całej duszy, i dobro jego jest jego ideałem, w co najzupełniej wierzymy. Mówiliśmy z nim niejednokrotnie o sprawie socyalnej. Otóż przekonaliśmy się, że jest obcy wszelkiemu warcholstwu i wszelkim zachciankom przewrotu społecznego, i potępia stanowczo wszelki terroryzm. Socyologia jego sięga daleko w przyszłość i mawiał najwyraźniej, że na to patrzeba pokoleń, a ile, tego oznaczyć trudno. Jako Rusin, nie ma nic wspólnego i potępia wszelką łączność z Moskwą, a na socyalizm w Rosyi także się trzeźwo zapatruje i ocenia go odpowiednio. Swe idee socyalne gruntuje na pracy pokoju społecznego i przekonań. Trudno więc takich idei nie uszanować.

Przypatrzmy się teraz Michałowi Pawlikowi w życiu codziennem. Nie mając własnych zasobów, zarabia się na najskromniejszy byt ciężką, mozolną, umysłową pracą piórem do różnych pism niesocyalistycznych. Dochód ten był jednakowoż tak mały, że mu nawet nie wystarczał na najpierwsze potrzeby utrzymania sił żywotnych. Michał Pawlik żył tygodniami, miesiącami, za 20—30 ct. dziennie przeciętnie, a czasami i na takie życie zbywało. Skromny i cichy, nie pozwalał sobie na najmniejszą przyjemnostkę, nie używał żadnych trunków, oprócz mleka, kawy lub herbaty, nie palił, tak samo był skromny w ubraniu i pod względem mieszkania. Ślęczeć dziennie 18 godzin nad piórem i książkami poważnemi, to była jego praca zwykła, na porządku dziennym. A jeżeli urwał godzinę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, to już było wszystkiem, i jedynem odetchnieniem. Wątłego ciała i ze zrujnowanem zdrowiem po więziennych kaźniach, nie dziw, że taka praca nad siły wywierała nań zabójczy wpływ, a mianowicie roku zeszłego latem, zapadał biedak coraz więcej na zdrowiu, i był już po prostu niezdolnym do pracy siedzącej. Radzili mu lekarze, aby bezzwłocznie wyjechał na świeże powietrze, tam odpoczął i odżywiał siły fizyczne, mlekiem, kąpielami itd.

Michał Pawlik nie posiadał na to środków, a nie przyjąłby od nikogo centa, którego nie zapracował. Nie miał jednak nikogo, do kogoby się mógł udać na wieś, bo gdy raz zabawił u pewnego księdza, tenże musiał potem za to ciężko pokutować. Jedyny środek był dlań pojechać w rodzinne miejsce, w powiat kossowski, do rodzinnej chaty, ale na to nie mógł się zdecydować. Gdyśmy o tem z nim mówili dlaczego, odpowiedział: „Gdzieżbym się chętniej udał, jak nie tam; ale jestem naprzód przekonany, że to znowu będzie nieszczęście dla mnie i dla mojej rodziny. Gdy się tylko tam pokażę, pójdą znowu donosy do Starostwa, i nic pewniejszego, że będę znowu uwięziony, bo taka to już moja dola, a nikczemnych ludzi nie brak“.

Gdy jednak stan zdrowia jeszcze więcej się pogorszył i Michał Pawlik nie mógł się prawie utrzymać na nogach, zdecydował się i pojechał pod rodzinną strzechę. Niebawem został aresztowany, a było to w miesiącu wrześniu i osadzony w więzieniu karnem w Kołomyi. Przesiedział biedak znowu cztery miesiące w śledztwie, był sądzony przez Trybunał karny i przekonano się, że siedział niewinnie.

Dowiadujemy się dzisiaj, że stan zdrowia Michała Pawlika jest bardzo groźny i dla tego uważaliśmy za właściwe podać do szerszej wiadomości, jak tego biedaka ściga fatalizm losu i — nikczemność ludzka. Widocznie, że szlachetna denuncyacya zaczyna coraz więcej u nas się zakorzeniać.

Karnawał w Warszawie. No! nareszcie na pożytek tańczącej ludzkości, rozpoczęliśmy zabawy jak się patrzy. Huczne mazury, wesołe polki z zamaszystem, zadzieraniem pięty tańczone, sentymentalne walce lekkie kontredanse i wszystkie rzeczy, które karnawałowemi są, wjechały na repertoar i niechże im będzie chwała najwyższa. Wioślarze nasi, którzy jak powszechnie wiadomo, na każdym posterunku pierwszymi być zawsze muszą i tym razem pierwsi balik urządzili honeste. Trzydzieści ośm par wirowało, walcowało, mazurowało i t. d. na szczupłej salce zimnego lokalu Towarzystwa, a chociaż tańce owe podobne były raczej z przyczyny ciasnoty, do świdrujących ziemię par na jednem miejscu, to jednak życia i humoru w zabawie nie brakowało, co na pożytek tanecznej ludzkości wpłynąć musiało dodatnio Szyk tam panował nieposzlakowany: nie było zupełnie czerwonych fraków, bo te już z mody wyszły, ale były natomiast fraki czarne z jedwabnymi wyłogami, białe kamizelki z żółtymi guzikami, lakierki z kokardami czarnemi i wychylające się z pod ineksprymablów białe jedwabne pończoszki, wedle ostatniego biuletynu mody, wydanego przez pełnomocnego jej paryskiego ministra p. Wartha z Paryża. Odbyła się także pierwsza maskarada w salach redutowych, wabiąc jednak tylko 50 osobników, gotowych się dać zaintrygować, ale nie intrygowanych zupełnie. Stąd sale redutowe przedstawiały widok panny, która sieje rutkę — światło w nich szybko pogasło, ani jeden współczesny gabinet z pierwszej karnawałowej maskarady nie mógłby opowiadać ani jednej ciekawej historyjki.

Bankructwa tymczasem używają karnawału w całej pełni; bankrutuje cukier i kawa (ale nie ta z Gasparone) bankrutują gruszki, jabłka i pomordowane zające, bankrutuje kto może i jak może, aby tylko żywot doczesny a spokojny jako tako sobie zabezpieczyć na stare lata; jest w tem wielka racya stanu.

Pan Wieniawski pisze jakieśtam „nasze bilanse" w Tygodniku ilustrowanym i wynajduje środki na ogólny sły stan naszych interesów, a tu sama opatrzność zsyła nam ratunek w bankructwach. Mniemam, iż godzi się ten środek dowcipny zaaplikować we wszystkich naszych stosunkach, które uregulować należy, ofiarując 10% tego co się pożyczyło, co się wzięło, lub do czego się jest obowiązanym. Na to dosyć jest tylko wyjednać takie uniwersalne prawo dla wszystkich, które ostatecznie nia jest niemożliwem. Przy zamianie guldenów 60. ct. na guldeny 100 centowe manipulacyę tak wesołą przeprowadziła w swoim czasie Austrya, za co jej się prawo wynalasku należy. Ponieważ i u nas projektomania ekonomiczno-polityczno-artystyczno-społeczno-literacka kwitnie w ostatnich czasach w pełni, czemużby przeto nasze towarzystwo popierania przemysłu i handlu, ad deliberandum tego wniosku nie podjęło. Mniemam, iż jak tylko inicyatywa taka wyjdzie, to poprą ją wszystkie organa, protegujące zawsze to, co rozumne i pożytek ogólowi przynoszące. Ach! ci misyonarze angielscy, przecież spryt ich okazał się bezsilnym, wobec silnej wiary „naszych znanych". Cieszę się też mocno, że p. Beabredy, któremu dla propaganda chrześcijańska opłaciła się jednym żydkiem z Rosień, przekonał się, jak mało na wdzięczność nawróconych liczyć może. Wywiózł on jednego wyznawcę Mojżesza do Anglii, ale w drodze wyznawca czmychnął, a że bez pieniędzy wędrówka jest fizycznem niepodobieństwem, przeto uznał za właściwe zabrać misyonarzowi gotówkę i zmusić go do osadzenia swych pakunków na mieliźnie Frankfurtu, gdzie oddać się może spokojnym refleksyom i medytacyom na temat znikomości tego świata, o których szeroko rozpisuje się biblia. O czem to jednak biblia się nie rozpisuje. Mnie się znam na niej, co prawda i cytat tutaj zanotować nie umiem, ale prawie gotów jestem się założyć, że tam musi coś być napisane o dzikim zwyczaju, jaki słyszę zaczyna się wkradać do naszych dotąd gościnnych domów, urządzających tańcujące herbatki, na których każą tańczyć, emablować damy, czynić jednem słowem największe ofiary ze swych płuc, główy, nóg i t. p. i to wszystko razem wzięte za najzimniejszą pod słońcem kolacyjkę, podaną à la fourchette. Panowie gospodarze domowi i panie gospodynie, zlitujcie się nakoniec, gdzież wy dążycie? Czyż nie miłą wam jest zabawa cór i wogóle niewiast waszych, czyż macie to przekonanie, że tartinkowa kolacya wasza przygarnie choćby tycio konkurenta, by go można choć na owinięcie małego paluszka użyć? czyż wasze ekonomiczne obliczenia nie wskażą wam, iż biały krawat, jasne rękawiczki, wyprana koszula, mankiety i kołnierzyki, nie więcej kosztować będą waszego poświęcającego się dansera, od waszej kolacyi zimnej, że ergo, ciż danserzy będą woleli połknąć coś gorącego za te pieniądze, wydane na nieuniknione a konieczne akcesorya balowe. Tak, tak, z obowiązku, z zasady uważałem wam to przedstawić dla rozpatrzenia w światłym umyśle. My, młodzież, straciliśmy już z kretesem te jakieś szalone chęci zabawy; bawimy się, no, bo chcecie tak tego koniecznie, dla was, nie dla siebie. Jeśli jednak to wszystko ma być bez gorącej kolacyi, a tylko tańczyć tak po zimnej cielęcinie, to padamy do nóżek, niema na szczęście teraz za świecie takich głupich. Buty się drą, krawaty i rękawiczki niemniej, a żołądek — to co?... pies?...

Dobry przykład. Młodzież nasza, kształcąca się prawie wyłącznie w gimnazyach pcha się do urzędów.

Dla zawodów: przemysłu, handlu, rzemiosł i rolnictwa pozostają same nieuki, często nawet bez ukończenia szkoły ludowej, gonimo, że ustawa (na papierze) nakazuje, aby każde dziecko do 14. roku życia uczęszczało do szkoły. Pan S., oficyał tutejszego urzędu telegraficznego, widząc brak u nas inteligentnych przemysłowców i rękodzielników, wykształceniem swych synów inaczej pokierował. Oto dwóch, którzy okazali zamiłowanie do garncarstwa oddał po kilku latach nauki w gimnazyum do tutejszej szkoły garncarskiej. Po trzech latach wysłał ich do fabryki Zsolnaja w Pięciukościołach (Fünfkirchen), następnie do innych znaczniejszych fabryk w Austryi, Niemczech i Włoszech, gdzie pracują na chleb powszedni, kształcąc się praktycznie. Trzeciego syna po skończeniu 4-tej klasy gimnazyalnej wysłał p. S. do krakowskiej akademii przemysłowej na wydział chemiczny. Gdyby za przykładem p. S. więcej ojców poszło, mniej byłoby bez płatnych praktykantów, aplikantów, auskultatów, pół i ćwierć suplentów, dyurnistów i t. p. białych murzynów.

W Pistyniu na 400 dzieci obowiązanych do nauki szkolnej jest **jeden** tylko nauczyciel. Wszelkie starania mie szkańców w Pistyniu, aby pozyskać przynajmniej jedną nauczycielkę spełzły na niczem.

Księgarnia polska we Lwowie, która bez zaprzeczenia najwięcej w Galicyi ze wszystkich księgarń przyczyniła się do oświaty dla biedniejszych warstw społecznych przez wydawnictwo „Mrówki", obejmującej cały skarbiec naszej literatury, nie przestaje i dalej w tym kierunku pracować. Oto witamy pierwsze wydanie dzieł Adama Mickiewicza, zawartych w czterech tomach, pięknym, wyraźnym drukiem, na wybornym, praktycznym papierze. Wydanie to zaopatrzone jest w przypiski nawet, mieszczące warjanty, nieznane szerszym kołom. A jestto wydawnictwo najtańsze, jakie się dotąd praktykowało w księgarstwie polskiem, bo c z t e r y t o m y, kosztują tylko **1 złr. 60** ct., a więc po **40** ct. z a t o m.

Podobno wydawnictwo to miało popsuć humor p. Władysławowi Gubrynowiczowi, który wydaje także dzieła Mickiewicza, po niesłychanie taniej cenie; naznaczył za tatome po 4 złr. Być może, że to drugie wydawnictwo, będzie świetniejsze, ale to jest rzeczą obojętną, gdyż tu idzie przedewszystkiem o to, aby dzieła wielkiego naszego wieszcza, były przystępne nawet dla każdego biedaka.

Mamy i trzecie wydawnictwo, znowu drugiego p. Bartoszewicza w Krakowie, który szlachetnie rywalizuje z p. Bartoszewiczem we Lwowie, właścicielem księgarni Polskiej.

U p. Kazimierza Bartoszewicza w Krakowie, może każdy dostać dzieła Adama Mickiewicza **bezpłatnie**, kto zapłaci z góry roczną prenumeratę za „Przegląd literacki i artystyczny", przez niego redagowany. Że zaś „Przegląd" ten jest najpoważniejszem i najlepszem pismem literacko-artystycznem w Galicyi, a cena jego roczna wynosi w Krakowie 6 złr.; na prowincyi 6 złr. 50 ct.; w Wielkopolsce 12 marek; w Warszawie 4 ruble sr., to polecamy też to pismo bardzo gorąco, które powinno znajdować się w każdej rodzinie, mającej pretensyę do inteligencyi.

Z teatru.

W nadto szczupłych ramach umieszczało pismo nasze w ubiegłym roku recenzye teatralne, by mogło reasumując sądy poprzednie przedstawić szanownym czytelnikom wykończony do najmniejszych szczegółów obraz działalności sceny naszej. Ograniczymy się tedy na kilku ogólnych rysach.

Panią wszechwładną gustu publiczności jest podkasana muza operetkowa, muza śmiejąca się rozkosznie a częściej jeszcze bezmyślnie.

Gasparone operetka Millöckera zapełnia od dłuższego czasu salę hr. Skarbka; nietylko niższe sfery ale nawet najwyższe — nietylko arystokratycznie miękkie krzesła balkonowe — ale nawet demokratycznie — niewygodne banty galeryi, uginają się pod publicznością ciekawą i skocznymi walcami emocyonowaną. Tymczasem *Aida* opiewa żary miłości swej afrykańskiej przed pustymi ławkami, kilkanaście tylko łez współczucia uzyska *Traviata*, a grzech Małgorzaty w *Fauście* zaledwie recenzentom teatralnym, dyrekcyi i bileterom jest znany.

Duch czasu — powiadają — każdej godziny dnia mógłby obywatel Galicyi zanucić piosnkę rozdzierającą uszy żałością i zgryzotą, gdyby tylko obywatel ów znał tajemnice kompozycyi i gdyby w ogóle brak chleba z przygległościami sprzyjał popisom wokalnym. Polak jednak kiedy głodny to zły, a wtedy najchętniej gwiżdże — a jednak w tej spólnej regule znany jest ten jeden wyjątek, iż najbardziej nasyconemu Polakowi drugiej połowy dziewiętnastego stulecia t. j. Mierzwińskiemu milszem jest gwizdanie.

Duch czasu jednak t. j. duch, który nie może sprzedać pszenicy, który chodzi bez butów i pozwala sobie na jedyny luksus t. j. na płacenie nad stan podatków, — duch ten ma specyalnie radować się, kiedy mu zanucą walca; po takim walcu przychodzi do domu i jak powiadają, zasypia bez kolacyi i nieuczuwa przy tem najmniejszych szkopułów sumienia i żołądka.

Aby prawdę napisać, nie można dziwić się nikomu, kto stroni od opery w czasach, kiedy taki p. Lafont lub taka pna Aironi reprezentowali ideę głosu tenorowego i sopranowego. W obec wygórowanych warunków, stawianych w dzisiejszych czasach przez znośnych zaledwie spiewaków, trudno winić dyrekcyę teatralną bezwzględnie; trzeba sobie bowiem powiedzieć, że miasto nasze jest za ubogie, aby opłacało znaczny artystyczny haracz, a subwencya wypłacana przedsiębiorcy teatralnemu przez Sejm galicyjski, jakkolwiek wysoka, ze względu na budżet krajowy, za szczupłą jest jednakże na opłacenie sił dobrych pierwszorzędnych. Z drugiej jednakże strony dobra wola i żywy zmysł przedsiębiorczy dyrektora teatru mógłby zorganizować możliwą dla uszu operę, rekrutując młode nie popsute jeszcze oklaskami, a tem samem niezbyt wymagające siły. Przykład lat poprzednich ilustruje słuszność tych wymagań. Za dyrekcyi ś. p. Stanisława Dobrzańskiego mieliśmy takiego Zakrzewskiego, mieliśmy taką Marko lub Gabbi, które dzisiaj na wielkich europejskich scenach królują. Obecnie przywożą tenora wykrzyczanego, zużyty głos usprawiedliwiają dawnemi recenzyami pochlebnemi na wyblakłym papierze i na zarzuty odpowiadają tłumaczeniem dorożkarza, żądającego za powolną jazdę wielką opłatę, ponieważ szkapa jego wychudła, wygrała przed laty wielką nagrodę na Janowskich błoniach czy w Epson.

W kilku tych słowach wytłumaczyliśmy zagadkę niefortunnego powodzenia opery, tłumacząc niechęć publiczności i usprawiedliwiając po części trudne zadanie dyrektora teatru.

Jeżeli jednak opera choruje na brak odpowiedniego personalu, to inaczej ma się rzecz z komedyą i dramatem. Liczna armia zdolnych egzekutorów czeka jakby manny z nieba sztuk świeżych, a jeżeli sztuki te nie nadpływają — to nie winna temu ani publiczność ani artyści — tu winowajcą dyrektor teatru, a może i nasi polscy autorowie. Jeden Zaleski nie próżnuje i zdaje się pisać sztuki na kolanach. Niedawno mieliśmy „Friebego" i „Lisa w kurniku" a już „Nasi zięciowie" wybierają się w tym tygodniu w podróż przed kinkiety. Publiczności trzeba jednak reklamy, rozgłosu, towar musi być zachwalany, aby znalazł kupca. Nie jesteśmy wyjątkiem od ogólnej reguły i biegniemy z narażeniem karku na popisy zagranicznej, specyalnie francuskiej literatury dramatycznej. Naczytawszy się w dziennikach o cudach nowych utworów Sardou lub Daudeta, publiczność chciałaby je czemprędzej powitać na własnej scenie. Cóż jednak, kiedy dopiero po roku sztuki te do nas nadjadą, a że odznaczają się zwykle modną, do nerwowego gustu publiczności zastosowaną wartością — przeto tracąc połysk nowości, tracą z nią zarazem siłę przyciągającą.

Przeciw zarzutom, jakoby utwory zapożyczone z repertoara paryskich teatrów, nie odznaczały się tą dobroduszną poczciwością właściwą sztukom naszych pisarzy zaprotestować można przykładem „Faustyny" dramatu St. hr. Rzewuskiego, który osiągnął w dziedzinie tendencyi cuchnącej atmosfery i społecznego błota stopień najwyższy. Z błota francuskiego bohater wydobywa się zwykle w akcie piątym — w „Faustynie" bohaterka przez cztery akty chciałaby to patetyczną teradą, to egzaltowaną deklamacyą otrząść się z kurzu, chciałaby zmyć kał, grożący jej uduszeniem — lecz siły jej słabną i w akcie piątym rezygnując z szlachetniejszych uniesień i porywów zapada w błoto, aby się już nigdy nie podnieść.

Jest to szyderczy uśmiech, który przesyła autor — zresztą młody, bogaty, niezależny człowiek — uczciwym pierwiastkom duchowym. Jeżeliś wpadł

w błoto, zagrzeb się w niem jeszcze głębiej i głębiej — zakryj wzrok, słuch, rozum i serce, a błoto zda ci się rajem — edenem.

Taka mniej więcej nauka, te mniej więcej hasła szerzy dramat, którego autor ma pretensyę do realnego pojmowania naszego społeczeństwa.

Zamykamy tym dorywczym referatem pierwszą recenzyę teatralną, która niechaj będzie prologiem prac dalszych. Staraniem naszem będzie baczyć, aby scena lwowska odpowiadała w całej rozciągłości swemu zadaniu. W szczególności zwracać będziemy uwagę na dramat i komedyę na tę istotną, integralną stronę działalności sceny, która przyjmuje na swe barki pracę w imię uszlachetnienia uczucia i gustu, — w imię krzewienia i wspierania zasad szlachetnych, moralnych i narodowych.

Sprawozdanie targowe.

Lwów, dnia 14. Stycznia 1886.

Obfite śniegi, które ostatniemi dniami naprawiły z powodu odwilży zepsutą saunę, oddziałały znacznie na liczniejsze dowozy zboża do Lwowa i do stacyj kolejowych w kraju.

Powstała stąd większa podaż przy usposobieniu nader mdłem, spotęgowana niższemi notowaniami giełd zagranicznych, oddziała choć nieznacznie przecież na zniżkę pszenicy, żyta i jęczmieniea. Na giełdach niemieckich. panuje ciągle usposobienie chylące się ku zniżce przy tendencyi nader spokojnej. Znaczne dowory zboża z Rosyi i Polski zapełniają magazyny tamtejsze, wskutek czego firmy eksportowe i młynowe pokrywają swoje potrzeby towarem konsygnowanym. Mając zaś wielki wybór i skłonnych oferentów, obniżyli cenę pszenicy o 1 markę, a żyta o 50 fenigów na 100 kilo, która też cena przy tem się utrzymała.

Rzepak i olejne nasiona spadły u nas w cenie, wskutek zniżki oleju o pół franka w Paryżu. Dawniejszy nasz export rzepaku do Gdańska ustał zupełnie. Notowania ztamtąd kalkulują za 100 kilo 8·75. Jedynym odbiorcą na nasz towar utrzymał się tylko Szlązk niemiecki, dokąd liczniejsze transakcye po niższych cenach zrobiono.

Większych transakcyj nie zrobiono żadnych w ostatnim tygodniu na targu naszym, cały ruch handlowy ograniczał się tylko na zaspokojenie potrzeb tutejszych i okolicznych młynów. Żyto w ładnym gatunku po cenie fr. 5·15 do 5·20 chętnego miały odbiorcę: to samo da się powiedzieć o suchej pszenicy, której jednakowoż brak wobec znacznej dostawy wilgotnego i średniego towaru — dał się znacznie odczuć.

Groch bez popytu; średnie gatunki po niższych cenach lokowano, a pięknego grochu „Victoria“ nie dostawiono. Wyka poszukiwana i mianowicie do Morawi i Czech.

Koniczyna czerwona i biała w pięknym gatunku znajduje łatwego odbiorcę w kupcu miejscowym i zagranicznym. Za gruboziarniste gatunki płacono po zlr. 45 i wyżej.

Rzepak bez odbiorcy.

Dziś płacono:

Pszenica gotowa	5.75	do	7.—
Żyto gotowe	5·—	„	5.35
Owies obroczny	5·50	„	6.25
Jęczmień browarny	4·50	„	6·50
Rzepak usposobienie spokojne	8·75	„	10.—
Groch	6·—	„	9·—
Wyka	4·—	„	5·25
Bobik	5·—	„	5·50
Hreczka	5.75	do	7·—
Kukurudza	3·75	„	4·50
Koniczyna czerwona	35·—	„	44—
„ biała	—·—	„	—·—
„ szwedzka bez odbiorcy	—·—	„	—·—
Chmiel za 56. Klg.	od —·—	„	—·—
Spirytus przy lepszem usposobieniu za 10.000 litr. prc.	—·—	do	—·—

Sprawozdanie

z czynności Związku Izby Stowarzyszeń rękodzielniczych, za czas od 1. Stycznia 1885 do 31. Grudnia 1885.

Z tych procenta użyte bywają na wsparcie wędrownych towarzyszy i leczenie miejscowych. Od 1. Stycznia 1886 r. kasy dla chorych, zostaną w każdym stowarzyszeniu zaprowadzone. Że statuta dotąd nie są potwierdzone, należy przypisać temu, iż panowie towarzysze nie we wszystkich stowarzyszeniach ukonstytuowali się; jak nie mniej i głównie tej okoliczności, iż musiały uledz pewnej zmianie tak w myśl rozporządzeń ministeryalnych z lat 1884 i 1885; jak też ustawy robotniczej z r. 1885. Zmiany te przeprowadziło bióro wspólnie z p. nadradcą magistratu Łyczkowskim, który z całą szczerą gorliwością poświęcił czas swój na to, by w Namiestnictwie z potwierdzeniem nie zwlekano. W ten sposób poprawione statuta, w niczem nie zmieniające podstaw zasadniczych, w większej części zostały przedrukowane w myśl postanowień Związku z dnia 20. lipca 1885 a zatwierdzenie tychże nastąpi zapewne z końcem lutego 1886.

Praca biórowa w r. 1885, była pod każdym względem nadzwyczajną i tejże przypisać należy, iż żadnych nie ma restancyi. Exhibitów urzędowych załatwiono **297**, korespondencyj przeprowadzono **400**, prócz tego w manipulacyi ksiąg korporacyjnych i kasowych wszystko w największym porządku. Dodawszy do tego odrębną pracę bióra do zakresu działania Izby rękodzielniczej należącą, a mianowicie, prócz wieców i nadzwyczajnych posiedzeń, układanie odezw, memoryałów, przeprowadzanie przeróżnych, a na setki liczących się korespondencyj z prowincyą i zagranicą, jak też w końcu załatwianie spraw drobniejszych ze stronami interesowanemi, to przyznać się musi, iż siły biórowe były wyczerpane. Przeto powiększenie tychże, lub przedłużenie czasu pracy funkcyonaryuszów przez lepsze tychże dotowanie, zdaje się być rzeczą nieuniknioną. Skład bióra Izby tworzą: przełożony związku, sekretarz, skarbnik, funkcyonaryusz i woźny, których roczna płaca wynosi według zestawienia rachunkowego złr. 1490. Kończąc niniejsze sprawozdanie nadmienić wypada, iż wykazana ilość uczni i towarzyszy nie jest wyczerpującą, stan tychże jest daleko liczniejszy i w tym kierunku związek ma bardzo wiele do czynienia, przez zwalczanie uporu i lekceważenia rozporządzeń ustawowych przez niektórych członków stowarzyszenia.

Z początkiem r. 1886. najważniejszem działaniem związku będzie, wyjednanie zatwierdzenia statutu, zaprowadzenie kas dla chorych, jak też wyjednanie u władz, aby zakresy kart przemysłowych dla handlarzy i kramarzy były obszerne i jasno skreślone i nie dawały tymże sposobności nadużywania zakresu tego. Niemiej bardzo ważną czynnością będzie wyjednanie prawa rekursów od wyroków 1szej i 2giej instancyi, jak też ochrony od fuszerów. W końcu wprowadzenie w życie składów materyałów surowych.

Że związek oddziałał korzystnie na stowarzyszenia, dowodem tyche przystąpienie do tegoż w r. b. aż 6 stowarzyszeń; a jest nadzieja, że i reszta nienależących korzystać będzie z pracy Prezydyum, z pracy, która nie tylko znaną jest u nas, ale i za granicą. Najlepszym tego dowodem jest ruch rękodzielników jaki, się objawił przy wejściu w życie ustawy z r. 1883. i tylko zasłudze Prezydyum winno się zorganizowanie Izb rękodzielniczych w Krakowie, Tarnopolu, Sokalu i t. d. Czynności tych związków, dają wymowny obraz, iż co najpiękniejsze to to, że poczucie godności stanu rękodzielniczegp w kraju naszym wzrasta i doznaje uznania tak od stron prywatnych jak też reprezentacyj krajowych i autonomicznych. Dla tego Prezydyum związku spodziewa się w przyszłości, że przyznanym, a gorliwym poparcia szanownych członków związku cel stowarzyszeń bliżej w statutach określony, osiągniętym zostanie. Mówiąc o czynnościach związku choć w krótkości skreślić należy działalność Izby rękodzielniczej. R. 1885. rozpoczęła Izba od przygotowań do wyborów do Izby handlowej i przemysłowej lwowskiej.

Izba rozwinęła bardzo gorącą czynność, wytknąwszy sobie za cel wysłanie delegatów do Izby h. takich, którzyby z całą gorliwością dobra rękodzieła bronić umieli. Wysławszy odezwy na prowincyę, otrzymywała Izba ze wszystkich stron kraju serdeczne uznania za podjętą pracę, a Prezydyum Izby czuło się zniewolonem na te objawy uznania odpowiedzieć szczerą zachętą do wytrwałej pracy. Wiadomo jak wybory wypadły, a praca Izby w tym kierunku podjęta nie była bezskuteczną.

Po ukończonych wyborach do Izby handl. nastąpił wiec szewców i rymarzy całego kraju i już dnia 30. stycznia wysłano memoryał do Ministeryum wojny, celem oznaczenia terminu licytacyi w otrzymaniu dostawy artykułów skórzanych dla c. k. armii. Następstwem wiecu tego było zawiązanie się stowarzyszenia dostawy dla armii artykułów skórzanych, którego oferta została nieprzyjętą. W zawiązaniu się tego stowarzyszenie, w uchwaleniu memoryałów, statutu w popieraniu celów stowarzyszenia brała Izba bardzo czynny udział, a to tak ze względu na dobro kraju jak też położone w niej zaufania członków z prowincyi tak dalece, iż prezesem Rady nadzorczej został wybranym p. Stanisław Niemczynowski, prezes Izby. Znanym jest los tego stowarzyszenia i ogólne rozczarowanie rękodzielników, któreby w rezultacie bardzo źle mogło było wpłynąć na moralny rozwój rękodzielników, gdyby nie energiczne wystąpienie Izby która spowodowała wysłanie memoryałów do wspólnych delegacyi, gdzie posłowie nasi stanąwszy w obronie praw krajowych zdziałali, iż p. minister wojny przyrzekł, o ile się tylko da uwzględniać rękodzielników kraju naszego i pewne zmiany w systemie dostarczania wyrobów wojskowych zaprowadzić. Sprawa jest jeszcze na porządku dziennym, a Prezydyum Izby czuwa aby kraj nasz nie był po macoszemu w tej mierze traktowany. Izba dbała o rozwój przemysłu krajowego, wychodząc z zasady iż dopóty się rękodzieło nie rozwinie i nie podniesie, póki nie będzie miało swoich rzeczników tak w Sejmie jak w Radzie państwa, wezwała wszystkich wyborców z miast i miasteczek na wiece do Lwowa 3. i 14. maja. Na wiecu z dnia 14. maja przybyli delegaci i miast i miasteczek, którzy zgodnie z myślą przewodnią Izby, postawili na kandydatów do posłowania w Radzie państwa takich ludzi o których przekonani byli, iż w obronie rękodzieła z całem poświęceniem się staną i skutecznie dla rozwóju tychże działać będą. Ten powszechny ruch rękodzielników kraju całego, to poczucie się do obowiązku obywatelskiego wywołało niezadowolenie tak w sferach rządowych, jak innych tak zwanych inteligentnych. A dziennikarstwo krajowe miasto podtrzymywać tego ducha miasto bronić prawa tych ludzi ciężkiej ale uczciwej pracy, z całą namiętnością rzuciło się na tych, którzy zjazd spowodowali, odmawiając im prawa do tego.

To postępowanie parcyalne spowodowało ogólne oburzenie przeciw tym dziennikom, z drugiej zaś strony wzniecało otuchę w wyborcach do podjęcia walki wyborczej z tymi konserwatystami, którzy przenoszą własne dobro nad potrzeby krajowe, postanowili i nadal pozostać w Radzie Państwa. Jaka była to walka, wiadomo wszystkim. Posłowie Lewakowski i Kopyciński tylko zabiegom energii i solidarności rękodzielników zawdzięczają swoje mandaty, a jak się wyrazili „Ci posłowie“ najpiękniejsze bo pochodzące od ludzi uczciwych i ludzi pracy“. W innych okręgach wyborczych upadli pp. Stwiertnia i Dr. Byk. Do klęski w Jarosławiu i Kołomyi, do klęski nietylko rękodzielników, ale całego kraju w tych miejscowościach przyczynili się ci, co oświatę szerzą tj. profesorowie! W tych to dniach 3. maja stowarzyszenia rękodzielników potępił stanowczo komitet wystawowy w Bełzie, dopuszczając na wystawę krajową wyroby zagraniczne i z domów karnych, i biorąc udział na Zgromadzeniu kupców dnia 21 czerwca którę uchwałę z 3 maja potwierdziło. Komitet ten zmuszonym był odwołać wystawę.

Walka z domami karnymi, aby wyrugować z tychże warstaty fabryczne, rękodzielnicze, datująca się już od lat dawniejszych przybrkła w tym roku większe rozmiary. Gdyż już Izba w miesiącu maju i czerwcu zawiadomiła zarząd domu karnego w Stanisławowie iż wydzierzawienie warstatów, uważa za nieszlachetne i demoralizujące, a zarazem w memoryałach swych tak do Sądów, domów karnych i komitetów wystaw krajowych oświadczyła, iż gdy konkurencya z domami karnymi jest niemożebną, przeto upadek rękodzieł ogólny, tylko temu przypisać należy, iż domy karne zatrudniają więźniów rękodziełami, w kraju jest powszechnym zdaniem przeto Izby jest koniecznem wyrugowanie tych rzemiosł, z domów karnych a wprowadzenie tylko takich, które w kraju naszem mniej są znane, jak tkactwo, kapelusznictwo, koszykarstwo etc. w końcu zajęcie więźniów robotami koło zalesienia wydm, regulacyi rzek i potoków górskich. To zainteresowanie się Izby w obec konkurencyi domów karnych poruszyło inne stowarzyszenia w Monarchi Austryackiej do czynu. W Wiedniu zawiązał się tak zwany komitet agitacyjny, który wezwał całe państwo do wyjednania u Rządu zniesienia zupełnego warstatów rękodzielniczych z domów karnych, w Pradze, w Bernie. Gracu itd. rozmaite zgromadzenia rękodzielnicze wystosowały memoryały do Rządu w tej sprawie, Izba również zwołała Walne Zgromadzenie a to uchwaliło wnieść petycyą do Sejmu i Rady Państwa w myśl powziętych dawniej uchwał Izby rękodzielniczej. Ten krok Izby i stowarzyszenia nieznalazł poparcia pewnego w dziennikarstwie krajowem, a *Gazeta narodowa* posądziła rękodzielników o cofanie się wstecz, o brak humanitarnych poczuć i pojęć, jedynie *Strażnica pol.* i *Kurjer lwow.* popierali i popierają sprawy rękodzielnicze!

We wszystkich kierunkach do rozwoju rękodzieła krajowego potrzebnych, Izba wstawiała się nietylko do Rządu, do Rady Państwa, do Delegacyi, Sejmu, ale nadto i do obywatelstwa wiejskiego, do Rady miastwa Lwowa, do Izby handlowej, słowem wszędzie, gdzie tego potrzeba było, udawała się bądź przez Prezydyum, bądź przez bióro, bądź też przez Walne Zgromadzenie. Przyczem zaznaczyć należy, że znalazła gorliwych obrońców przemysłu krajowego w posłach Lewakowskim, Smolcc i Romanowiczu, lecz z sukcesami w Izbie handlowej, a nawet w Radzie miasta poszczycić się nie może, z powodu, że nieznalazła ludzi chętnych, gorliwych przyjaznych temu przemysłowi, który w Węgrzech poparty przez wszystkie warstwy społeczeństwa nietylko się rozwinął, ale ostatecznie wyrugował przemysł zagraniczny. Że wina to głównie spole-

czeństwa, i reprezentacyi krajowych, iż u nas rękodzieło się nie podnosi, lecz upada, to udowadniać zdaje się rzeczą zbyteczną. Wykazały to jasno i dobitnie obrady Walnego Zgromadzenia dnia 12. bm. odbyte, a skarga zgnębionych rękodzielników w obec tych Władz, jak też przedstawienie tychże do Obywatelstwa wiejskiego, Sejmu, Rady państwa i miasta, tak co do usunięcia rękodzieł z domów karnych, jak też zaprzestania sprowadzania wyrobów z zagranicy i subwencyonowania rękodzieł, zdziałała, iż i te dzienniki, które w obec coraz więcej wzmagającego się rozwoju i wykształcenia rękodzielnikow, pod względem moralnym zajmywały dość nieprzychylne stanowisko Skreślając przebieg ostatnich obrad· tak Wiecu rolniczego jak i rękodzielniczego, przyznały, że w uchwałach tych obu Wieców tkwi myśl bardzo zdrowa i tylko od Sejmu, od reprezentantów kraju zależy — myśl tę w czyn przemienić!

Wobec tego ileż to pracy, ile czasu, ile poświęcenia potrzeba, aby uchwały tej Izby jako jedynej reprezentantki rękodzieła w kraju naszym mogły przynieść pewne korzyści. Zaiste trudno na to odpowiedzieć, a gdy zważy się, że w tym roku przypadło w udziale Izbie, położyć stanowczy kres wyzyskiwaniu rękodzielnika przez fuszerów i handlarzy, sprawy piękącej i w toku jeszcze będącej to łatwo przyjdziemy do przekonania, że tylko skupionymi siłami, wewnętrzną ścisłą organizacyą, obopólnem zaufaniem, ciągłą pracą i wytrwałością stworzyć będziemy mogli, tak silny gmach, iż go żadna potęga nie złamie, bo podczas gdy nasi rękodzielnicy zagranicą doznają powszechnego uznania, a nawet w Anglii ,w Birmingham, Manchester, mają swoje stowarzyszenia, podczas gdy dyrektorem przędzalni w Lyonie jest Polak Zabokrzycki, w Marsyli Polak Singer, w Nowym Yorku. stolarz. Straszyński założył fabrykę giętych mebli, a w Bostonie Julia Kwajserówna fabrykę sztucznych kwiatów, i tamże Józef Wyrwicz skład perfum, zaś w Paryżu i w Londynie pracuje przeszło 6000 noszych rękodzielników, ciesząc nietylko powodzeniem, ale nadto powszechnem, uznaniem, wszystkich warstw społeczeństwa to zaiste tylko społeczeństwo nasze i reprezentacye kraju są winne upadkowi materyalnemu, którego aby Bóg dał przy znanej wytrwałości i uczciwości naszego rękodzielnika, tenże jak najprędzej mógł powstać, do czego też zdążać jest nietylko zadaniem Izby, ale każdego obywatela dobro kraju mającego na względzie.

Lwów, 28 grudnia 1885.

Przewodniczący *S. Niemczynowski* — Zastępca przewodniczącego *Michał Walichiewicz*

Stefan Wysocki
sekretarz Izby.

Protokół z posiedzenia Izby rękodzielniczej odbytego dnia 28. Grudnia pod przewodnictwem p. Niemczynowskiego, w obecności 24. członków i sekretarza Izby pana Wysockiego. Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z ostatniego posiedzenia p. Niemczynowski dziękuje za podpieranie Prezydyum w sprawach całorocznych, wzywając do dalszej pracy, solidarnego postępowania i jedności, poczem sekretarz odczytuje sprawozdanie z całorocznej działalności Związku i Izby. Zgromadzenie przyjmując to do wiadomości przez powstanie podziękował p. Niemczynowskiemu za jego niezmordowaną pracę, koło rozwoju przemysłu i utrzymania ducha jedności, zgody i łączności. Z porządku dziennego uchwalono budżet na rok 1886. W przychodzie 1698 zł. w rozchodzie 1695 a to płaca prezesa 360. sekretarza 600, skarbnika 300, pisarza 120, woźnego 240, koszta administracyjne 75 zł. Nadto na wniosek p. Früaufa, aby Prezydyum udzieliło funkcyonaryuszom Izby za rok 1885 remuneracyą uchwalono upoważnić prezydyum do remunerowania w miarę funduszów. P. Niemczynowski zawiadamia, iż wybory do Rady miasta wkrótce się już odbędą, wzywa więc obecnych by działali wspólnie z tymi, których Izba delegowała do Komitetu z 12. i czuwali aby honor mieszczaństwa na szwank narażonym nie był Do komitetu tego należą pp. Alexandrowicz, Michalski, Głodziński, Getriz, Swisterski, Gołąb i Walichiewicz.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego